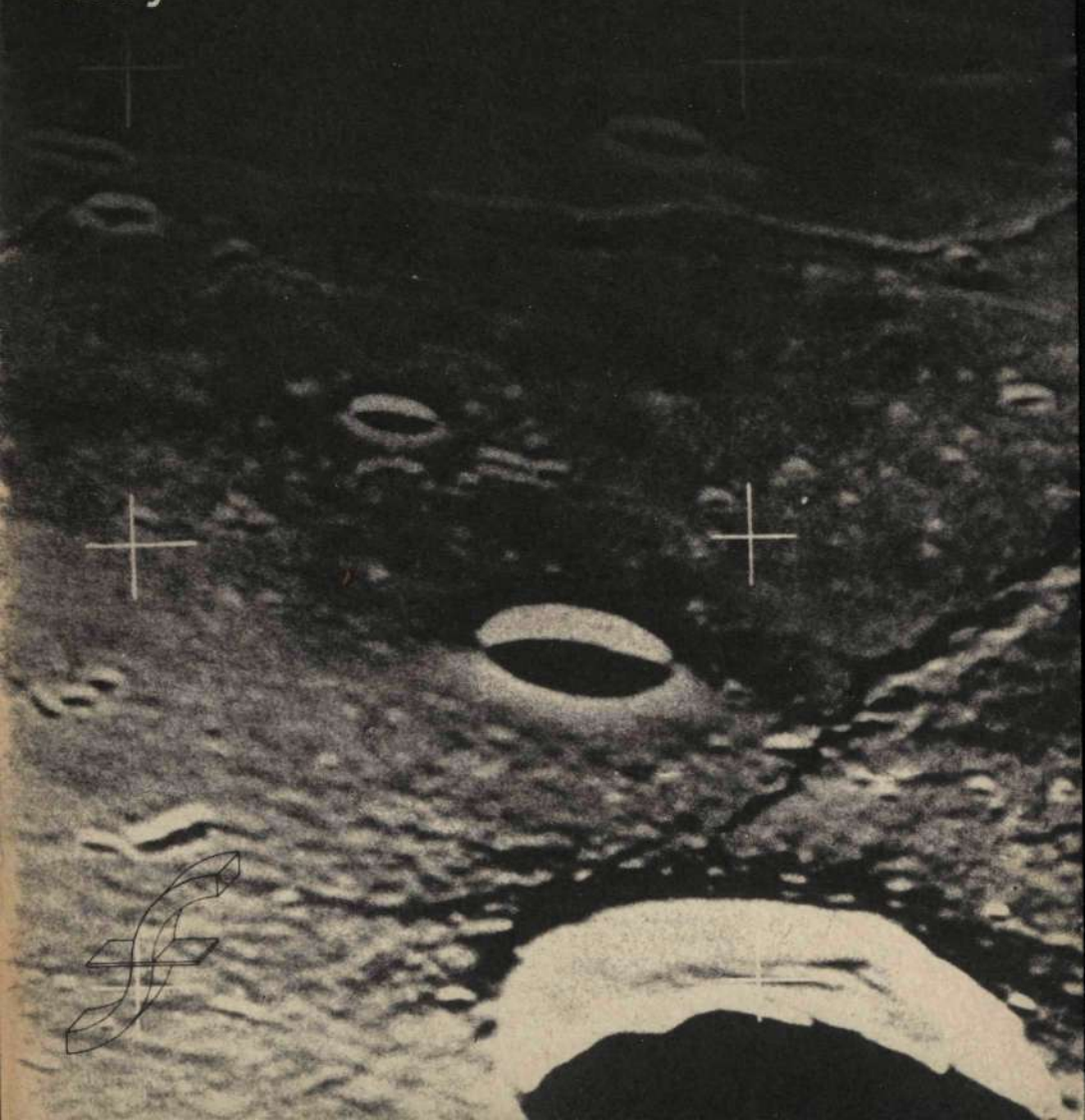


Kirył Bułyczow

Nie drażnić ⁴ czarownika!

Iskry



Iskry

Warszawa 1985

Kirył Bułyczow

Nie drażnić czarownika!

Przełożyli

Józef Gosc

i Anita Tyszkowska

Tytuły i źródła oryginałów:
Nie gniewi kotłuna — „Chimija i zizn” 6/78
Komu eto nužno? — „Junnyj tiechnik” 12/80
Kopilka — „Chimija i zizn” 3/84
Każdomu jest’ czto wspomnit’ — „Znanije — sila” 5/84
Letnieje utro — „Letnieje utro”, © Izdatielstwo „Moskowskij raboczyj”,
Moskwa 1979

Opracowanie graficzne
Michała Piekarskiego

Redaktor
Elżbieta Kwaśniewska

Redaktor techniczny
Jadwiga Laferi

Korektor
Jolanta Rososińska

ISBN 83-207-0442-1

For the Polish edition © copyright by Państwowe Wydawnictwo „Iskry”,
Warszawa 1985

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1985 r.
Wydanie I. Nakład 150 000+250 egz. Ark. wyd. 3,1
Ark. druk. 3. Papier offset. kl. III, 70 g, rola 61 cm.
Olsztyńskie Zakłady Graficzne im. S. Pięńskiego
Zam. nr 3 Cena zł 40,— N-70/48

Jeszcze jeden Bułyczow

Z pewną dozą przesady można powiedzieć, że wszyscy miłośnicy fantastyki w Polsce lubią twórczość Kira (lub Kiryła, bo używa tych składników pseudonimu wymiennie), a ci nieliczni, którzy za nim nie przepadają, są jednak pod urokiem jego opowieści guslarskich. Ale Wielki Guslar to tylko jedna z wizytówek tego znakomitego fantasty. W jego twórczości można bez trudu wyodrębnić cztery nurty: SF standardową, dziecięcą, guslarską i... Właśnie ten czwarty nurt trudno zdefiniować, bo określenie „pretekstowa” niewiele tłumaczy. Bułyczow dość rzadko i niechętnie pisuje nowele realistyczne, oparte na jednym tylko pomysle zaczerpniętym z arsenału fantastyki naukowej. Są to utwory doskonałe literacko, zachwycające świetnym opanowaniem warsztatu pisarskiego, doskonale podpatrzonym szczegółem i — co najważniejsze — niezwykłą wprost życzliwością dla ludzi, ciepłym liryzmem i po prostu dobrocią. Takim dziełkiem jest zamieszczone w tym zeszycie opowiadanie *Letni ranek*, będące dobrym przykładem owego czwartego nurtu, do którego zalicza się znane już czytelnikowi polskiemu nowele *Można prosić Ninę?*, *Sztuka rzucania piłki*, *Inna polana* czy nie tłumaczona *Korona prof. Kozarina*. Przed dziesięcioma mniej więcej laty krytyka radziecka uznała opowiadanie *Można prosić Ninę?* za najlepszy w ogóle utwór Bułyczowa. Kiedy zapytałem go, co o tej opinii sądzi, odpowiedział, że jest to z pewnością jego utwór... najgorszy.

Od tego czasu Bułyczow napisał wiele tekstów znakomitych i kilka zdecydowanie słabych, ale swego zdania nie zmienił. Wydaje mu się po prostu, że tekst literacki zamierzony jako dobry musi być naprawdę perfekcyjny, a skoro ma najmniejszą choćby skazę...

Sądzę, że zawarte w tym zeszycie utwory mają tych skaz niewiele, że ich lektura nie tylko czytelnika ubawi, lecz także skłoni do głębszej refleksji nad otaczającym nas światem.

Tadeusz Gosk

Nie drażnić czarownika!

Dzisiaj nikt już nie wierzy w czarowników. Tak dalece, że można odnieść wrażenie, iż czarownicy wymarli nawet w literaturze. Czasami tylko przemknie się tam czarodziej. Ale czarodziej to nie czarownik, tylko znacznie lepiej wychowany przybysz z zachodu. Dopóki nasze dzieci nie nazywały się baśni braci Grimm i Andersena, nie miały najmniejszego pojęcia o czarownikach, a teraz jakiś tam gnom czy kobold jest im znacznie bliższy i bardziej zrozumiały niż zwyczajny czarownik. Cóż robić, żyjemy wszak w epoce rewolucji naukowo-technicznej i telewizyjnej.

Nic więc dziwnego, że kiedy pewien czarownik wyszedł z lasu i skierował się w stronę Korneliusza Udałowa, ten nawet nie podejrzewał, co mu może grozić.

Czarownik był ubrany niechlujnie i w dodatku pretensjonalnie. Miał na sobie postrzępiony kozuch, zajęczą czapkę i chromowe kozaki na wysokich obcasach, z ostrogami.

— Biorą? — zapytał czarownik.

Udałow popatrzył na czarownika, a potem znów zagapił się na splot. Ryby brały całkiem nieźle, chociaż była już późna jesień, rano zdarzały się przymrozki i opadłe liście chrzęściły pod nogami jak waflle.

Czarownik pochylił się nad wiaderkiem z leszczami i powiedział:

— Połowę oddasz mnie.

— Jeszcze czego! — uśmiechnął się Udałow i podciął.

Tym razem trafiła się plotka, która skakała po pożółklej trawie i próbowała dać z powrotem nurka w jezioro Kopenhagen.

— Podziel się — powiedział czarownik. — Jestem tu gospodarzem, a z gospodarzem trzeba się dzielić.

— Od niepamiętnych czasów przyjeżdżam tu na ryby — powiedział Udałow rzucając plotkę do kubelka — i żadnego gospodarza nigdy nie spotkałem. U nas zresztą wszyscy są równi.

— Jestem tu od niedawna — powiedział czarownik. Potem przykucał i zamieszał palcem w wiaderku. — Przyszedłem z innych okolic. Lubię spokój, rozumiesz?

Wtedy dopiero Udałow przyjrzał się czarownikowi i wynik tych oględzin wzbudził w nim negatywne uczucia.

— Pan co? — zapytał. — Wybiera się pan na maskaradę, czy też uciekł pan ze szpitala?

— Co za nieuprzejmość! — westchnął czarownik. — Znikąd nie

uciekłem. Którą połowę oddasz? Masz tu sześć leszczy, trzy okonie i płotkę. Jak będziemy się dzielić?

Udałow zrozumiał, że ten człowiek nie żartuje. I jak na złość nad całym jeziorem ani jednego wędkarza. Znikąd pomocy. A do szosy trzy kilometry gęstym lasem.

— Gdzie pan mieszka? — zapytał Udałow prawie uprzejmie.

— Pod karpą — powiedział czarownik. — Jak przyjdą mrozy, to zajmę jakąś dachę. Nie mam nadmiernych wymagań.

— A co, nie ma pan swojego domu?

Z dalszego łowienia nici, a zresztą i tak już czas wracać do domu. Korneliusz wstał, wyciągnął z wody drugą wędkę i zaczął ją zwijać.

— Własny dom nie jest mi pisany, bo jestem czarownikiem, istotą wolną — zaczął czarownik, ale zauważył, że Udałow zbiera się do domu, i wpadł w złość. — A ty co, chcesz sobie pójść? Sprzeciwiasz się?! Mnie się jeszcze nikt nie sprzeciwił. W dawnych czasach na sam mój widok padali na ziemię i błagali, żebym dobrowolnie wziął, nie sprowadzał zguby.

— Czarownik? Czarowników nie ma. To jest przesąd.

— Dla jednych przesąd, a dla innych smutna rzeczywistość.

— No to niby dlaczego mam się pana bać?

Wędki były już zwinięte i zapakowane. Udałow wykonał parę podskoków, żeby rozprostować kości. Zimno. Zrywa się wiatr. Zza lasu wypęła chmura. Zbiera się na śnieg albo deszcz.

— To jasne, dlaczego — powiedział czarownik. — Bo mogę rzucić urok.

— Niby w jakim sensie?

Oczy czarownika zupełnie się Udałowowi nie podobały. Były bezczelne i przerażające.

— A w takim, że mogę rzucić urok na ciebie, na twoją krowę, kozę albo i na kury.

— Nie mam rożaczki ani drobiu — powiedział Udałow, biorąc do ręki wiaderko i zarzucając na ramię futerał z wędkami. — Skąd miałbym je mieć, kiedy mieszkam w mieście Wielki Guslar na pierwszym piętrze. Wobec tego żegnam pana.

Udałow szybko ruszył leśną ścieżką, ale czarownik pobiegł za nim. Wirował wokół niego jak bąk, znikał za drzewami, znowu pojawiał się na drodze i ciągle gadał. W innej sytuacji Korneliusz podzieliłby się z człowiekiem, bo nigdy nie był skąpy, ale tu wziął na ambit. Jeśli facet grozi, to nie wolno się poddawać. I tak już za wiele różnych paszytytów chodzi po świecie.

— To znaczy, że odmawiasz? Nie chcesz okazać uszanowania? — zebrał czarownik.

— Znaczą odmawiam.

— To znaczy, że mam podjąć kroki?

— Podejmuj.

— Ale przecież rzucę na ciebie urok! Ostatni raz ostrzegam.
— Jaki?
— Mogę świerzb. I gorączkę też mogę.
— Daj spokój. Na to są lekarstwa.
— No to odżałuj przynajmniej ze dwa leszczyki!
— Próżne gadanie!
— Stój! — czarownik zabiegł Korneliuszowi drogę. — Ostrzegam cię po raz ostatni!

— Nie przeszkadzaj mi, bo przez ciebie spóźnię się na autobus, przyjadę późno do domu i jutro w pracy będę niewyspany. Rozumiesz?
— Chodzisz do pracy? — zdziwił się czarownik. — I w dodatku chodzisz na ryby?

— A jak można inaczej? — Udałow odsunął czarownika i ruszył dalej. — Jak można żyć bez rozrywki? Przecież człowiek mógłby w ten sposób zdechnąć z nudów. Gdybym tylko chodził do pracy i współżył z żoną, bez żadnego hobby, to z pewnością bym oszalał. Człowiekowi w życiu niezbędne jest urozmaicenie, bo bez tego to już nie człowiek, tylko zwyczajna żywa istota.

Czarownik szedł obok niego i kiwał głową. Udałowowi nawet wydało się, że wyzna mu za chwilę w tajemnicy, że i on ma sekretne hobby, na przykład kolekcjonowanie motyli albo żuków. Ale zamiast tego czarownik nagle zachichotał i w tym chichocie było coś niepokojącego.

— Zrozumiałem — powiedział czarownik. — Koniec z tobą, Korneliuszu Iwanowiczu. Wiem już, jaki na ciebie rzucić urok.

— No to gadaj — powiedział odważnie Korneliusz Udałow.

— Patrzaj!

Czarownik wyrwał kłak włosów z siwej brody, chwycił opadający liść, podniósł z ziemi jakąś grudkę i zaczął to wszystko ugniatać w garści, lamentując przy tym śpiewnie po starosłowiańsku i podskakując na ugiętych nogach. Widok był nieprzyjemny, ale Udałow czekał, aż się to wszystko skończy, bo nie mógł przecież zostawić samego w lesie człowieka z atakiem padaczki... W końcu jednak znudziło go to, machnął ręką i poszedł dalej. Przez chwilę jeszcze słyszał za sobą rozpaczliwe wrzaski, a potem nastąpiła cisza. Udałow pomyślał już, że czarownik się od niego odczepił, ale zaraz dobiegł go odgłos szybkich kroków.

— Koniec! — wysapał z tyłu czarownik. — Jesteście zaczarowani, towarzyszu Udałow. Nie będzie w waszym życiu rozrywek. Taki urok na was rzuciłem. Wasze życie będzie toczyć się w zaczarowanym kręgu, dzień za dniem, tydzień za tygodniem. Będzie się powtarzało co do joty. I nie wyrwiecie się z tego zaczarowanego kręgu aż do samej śmierci. Jeszcze będziecie mnie błagać, towarzyszu Udałow, żebym wypuścił was ze straszliwego więzienia, a ja tylko roześmiję wam się w twarz i zapytam: A rybki pamiętasz?

I czarownik rozplynał się w ciemnym powietrzu, stopił się z pniami sosen, a potem na las spadł wilgotny, lepki ciężar. Udałow potrząsnął

głową, żeby odpędzić wspomnienie o czarowniku, i ruszył na przystanek autobusowy. Już na miejscu, stojąc w budce i słuchając, jak krople deszczu bębnią o daszek, zaczął się zastanawiać, skąd czarownik znalazł jego nazwisko. Przecież Udałow, rzecz jasna, wcale mu się nie przedstawiał.

W autobusie Korneliusz Iwanowicz wspomniął o czarowniku po raz ostatni, a wróciwszy do domu zupełnie już o nim zapomniał.

Rano Udałowa obudziła żona.

— Korneliuszu, zamierzasz wylegiwać się do południa?

Potem podeszła do łóżka syna, Maksymka, i zapytała:

— Maksym, chcesz się spóźnić do szkoły?

I natychmiast plusk-plusk jajka na patelnię. Pszczyk-tukpszczyk — nożem po chlebie. Bul-bul-bul mleko z butelki, uuu-uuuu-iii — zagotowała się woda w czajniku.

Udałow zwiłkł się z łóżka z ciężką głową, bo wczoraj był długo na świeżym powietrzu. Z samego rana czekała go narada. Znowu plan się wali.

— Maksymku — zapytał — długo jeszcze będziesz siedział w ubikacji?

W autobusie, którym jechał do pracy, zauważył znajome twarze. W biurze wszyscy już zaczęli udawać szalenie zapracowanych. Udałow przywitał się z kim należy, poszedł do siebie, usiadł przy biurku, założył czarne zarękawki, żeby łokcie w marynarce się nie wycierały, i podejrzliwie przyjrzał się blatowi biurka, jakby spodziewał się znaleźć tam skorpiona. Skorpion nie było. Udałow ciężko westchnął i rozpoczął dzień pracy.

Kiedy Korneliusz Iwanowicz wrócił do domu, na kuchni kipiła zupa. Ksenia prała, a Maksymek odrabiał lekcje. Za oknem po jesiennemu mżyło i było ciemno jak w studni. Stół, przy którym jeszcze niedawno mieszkańcy domu grali w domino, błyszczał w świetle latarni, a z nagich krzewów kapwały nań lodowate krople. Jesień. Martwy sezon.

Niezauważalnie przeleciał tydzień. Dzień za dniem. W niedzielę Udałow nie pojechał na ryby, bo i tak by nie brały w taką pogodę, tylko poszedł w gościnę do Alewтины, kuzynki Kseni. Posiedzieli, poglądali telewizję, wrócili do domu. W poniedziałek rano Udałowa obudził głos żony:

— Korneliuszu, zamierzasz wylegiwać się do południa?

Potem żona podeszła do łóżka syna Maksymka i zapytała:

— Maksym, chcesz się spóźnić do szkoły?

I natychmiast plusk-plusk — jajka na patelnię. Pszczyktuk — nożem po chlebie. Bul-bul-bul — mleko z butelki, uuuu-iii — zagotowała się woda w czajniku.

Udałow z trudem zwiłkł się z łóżka. Głowę miał ciężką, a z samego rana czekała go narada.

— Maksym! — krzyknął — długo tam jeszcze będziesz siedział?

Jakby mu ktoś w głowie puścił taśmę magnetofonową. Gdzie on to już słyszał?

W biurze wszyscy biegali z zaferowanymi minami, dyskutowali gorąco na korytarzu. Udałow poszedł do siebie, naciągnął czarne zarękawki i podejrzliwie przyjrzał się blatowi biurka. Skorpionka nie było. Udałow westchnął i zaczął przygotowywać papiery na naradę.

W niedzielę Korneliusz Iwanowicz chciał pojechać na ryby, ale pogoda mu nie pozwoliła. Padał śnieg z deszczem. Wobec tego po obiedzie poszedł do sąsiada. Pogadali sobie trochę, pooglądali telewizję.

W poniedziałek Udałow obudził się z dziwnym uczuciem. Leżał z zamkniętymi oczami i czekał. Doczekał się:

— Korneliuszu, zamierzasz wylegiwać się do południa?

— Stój! — Udałow zerwał się i boleśnie rąbnął bosymi piętami o podłogę. — Kto cię tego nauczył? Nie znasz innych słów, czy co?

Ale żona jakby nie słyszała odgłosów buntu. Podeszła do łóżka syna i powiedziała:

— Maksym, chcesz się spóźnić do szkoły?

I natychmiast plusk-plusk — jajka na patelnię...

Udałow zaczął naciągać spodnie, żeby jak najszybciej wyrwać się z domu, ale jakoś mu to nie szło. Schwycił sam siebie na nerwowym okrzyku:

— Maksym, długo tam jeszcze... — i ugryzł się w język.

A w biurze było zamieszanie. Wszyscy przygotowywali się do miesięcznej narady sprawozdawczej. Ale wystarczyło, żeby Udałow spojrzął na blat swego biurka, by jakaś nieznaną siłą poderwała go i wypędziła na dwór. Korneliusz Iwanowicz, nie wiadomo czemu, popędził do sklepu rybnego, postąpił chwilę w niedługiej kolejce i kupił prawie pięciokilogramowego szczupaka. Zawinął go w gazetę i z tym pakunkiem udał się na przystanek autobusowy.

Sypał mokry, drobny śnieg i tajał na ziemi i w koronach drzew. Las był cichy, jakby w milczeniu przysłuchiwał się temu, co się miało stać.

— Hej — powiedział Udałow nieśmiało.

Za drzewa wyszedł czarownik i powiedział:

— Szczupaka przyniosłeś? W szczupaku jest dużo ości.

— Skąd by się miały wziąć w szczupaku ości? — oburzył się Udałow. — To przecież nie leszcz.

— Leszcz jest lepszy — powiedział czarownik macając wystający z gazety szczupaczy ogon. — Mrożony?

— Ale, świeży — uspokoił go Udałow.

— A co, dopiekło ci? — czarownik wziął na ręce szczupaka jak niemowlę.

— Nie mam już sił — wyznał Udałow. — Plusk-plusk, pszyk i pszyk.

— Szybko — powiedział czarownik. — Dopiero trzy tygodnie minęło.

— Ja już więcej nie będę — powiedział Udałow.

Czarownik popatrzył na szare niebo i powiedział z zadumą w głosie:

— Jakos mi ciebie zal... Starzeję się czy co? Bo przecież zasłużyłeś na karę.

— Przyniosłem panu szczupaka. Prawie pięć kilo ryby.

— No dobra, potrzymaj.

Czarownik oddał Udałowowi szczupaka i zaczął odczyniać urok. Udałow czuł się paskudnie. Może to tylko głupi żart?

— Koniec — powiedział czarownik wyciągając rękę po szczupaka. — Jesteś wolny, Udałow. Latem będziesz mi oddawał co drugiego leszcza.

— Oczywiście! — wykrzyknął Udałow, teraz już zupełnie przekonany, że go facet wykiwał.

Czarownik zarzucił szczupaka na ramię jak karabin i poszedł w krzaki.

— Chwileczkę! — zawołał za nim Udałow. — A jeśli...

Ale jego słowa zaplątały się w mokrych gałęziach, a w lesie nikogo nie było.

Udałow powłókł się na przystanek autobusowy. Kiwał głową i wma-wiał sobie, że chociaż czarownik to wstrętny osobnik i szantażysta, to jednak... Zanim dotarł do domu, tak się zmordował i postarzał, że jakaś dziewczyna spróbowała go jako sędziwego starca przeprowadzić przez jezdnię.

Udałow pełen strachu przyszedł do domu, pełen strachu położył się spać i pełen strachu czekał na nowy dzień, tocząc we śnie bezcelowe rozmowy z czarownikiem. A im bliższy był ranek, tym mniej wierzył w wybawienie.

Ale jakoś się obeszło.

Następnego dnia rano Ksenia ugotowała manną kaszkę, Maksymek dostał świnki i nie poszedł do szkoły, a sam Udałow został wezwany na dziesięciodniową naradę do Wologdy.

przełożył Tadeusz Gosk

Komu to potrzebne?

— I komu to potrzebne? — zapytał uprzejmie Mikołaj.

Od Wołgi ciągnęło świeżością, zza lasu wytonił się obwieszony girlandami lampek parowiec. Dochodziły z niego dźwięki muzyki, pod markizą na rufie tańczono walca.

— Po pierwsze: nauce — odpowiedziałam. To nie była najlepsza odpowiedź, ale nic innego nie przyszło mi do głowy. Po prostu nic nie jest potrzebne nauce. Przecież nauka to tylko jeden ze sposobów naszego obcowania ze światem, zupełnie tak jak poezja. A zatem... nie, nie chciało mi się o tym myśleć. Mikołajowi po prostu miło było rozmawiać ze mną, kobietą, naukowcem z Moskwy. Właśnie skończył się film i z klubu zaczęli wychodzić sąsiedzi. Przechodząc obok naszej ławeczki przyglądali się nam, niektórzy mówili „Dobry wieczór!” I to też sprawiło Mikołajowi przyjemność.

— Rozumie się, że nauce — powiedział.

Ciekawe, pomyślałam. Kiedyś przez trzy lata mieszkałam w tej wsi, chodziłam tu do szkoły i troszkę się podkochiwałam w Mikołaju. Był ode mnie dziesięć lat starszy, wrócił wtedy z wojska i pracował jako kierowca. Minęło dwadzieścia lat, dorosłam i przyjechałam na tydzień na wieś, bo nie miałam dokąd uciec z Moskwy. I okazało się, że Mikołaj jest o wiele młodszy ode mnie, i to nie tylko dlatego, że prawie się nie zmienił, nawet nie był żonaty. Po prostu od pierwszej chwili, kiedy weszłam do domu babci Głazy, Mikołaj uznał moje starszeństwo. A ja przyjąłam to jak coś zupełnie naturalnego.

— Ale mimo wszystko — mówił Mikołaj, starając się wyrażać naukowo — powinno to mieć jakieś zastosowanie praktyczne.

— Ma zastosowanie praktyczne — rzekłam. — A będzie miało jeszcze inne.

— Opowiedz!

Opowiedziałam krótko, bo nie potrafiłam przekazać nieprzyjemnego wrażenia, jakie pozostawiła na mnie sesja w Moskiewskim Muzeum Literatury. Sala była pustawa, ale nie miało to żadnego znaczenia, bo cała śmietanka literaturoznawców stawiła się w komplecie. Sania Dobriak, mój asystent, uroczyście regulował aparaturę, a ja cały czas miałam dziwne uczucie, że wobec powagi chwili jestem zupełnie nieodpowiednio ubrana. Patrząc na Dobriaka widziałam wyraźnie, jak się denerwuje — zawsze mocno reagował na moje nastroje.

Doskwierał mi boleśnie brak czarnego fraka z różą w butonierce. Widzowie patrzyli na mnie życzliwie, acz z lekkim znudzeniem. Stara-

łam się pominąć wszystkie wzory i szczegóły techniczne i wyjaśniałam po prostu, że w pracy grafologów, jakże często (i nie bez przyczyny!) obwinianych o szarlatanerię, jest jednak racjonalne jądro: charakter pisma ma związek z osobowością człowieka, z jego nastrojem, wychowaniem itp. Opowiedziałam o tym, jak otrzymaliśmy zamówienie od kryminologów — zamówienie na pierwszy rzut oka fantastyczne, które w czasie pracy okazało się wcale nie takie znów nierealne. Założenie było takie, że jeżeli charakter pisma jest rzeczywiście cechą absolutnie indywidualną, to można spróbować znaleźć ścisłą zależność między nim a na przykład wyglądem zewnętrznym człowieka. Przyznałam, że na obecnym etapie badań nie udało nam się jeszcze tego osiągnąć, ale nie przerywamy prób.

Skończyłam część ogólną i opowiedziałam literaturoznawcom o istocie naszych osiągnięć: udało nam się znaleźć związek między charakterem pisma człowieka a brzmieniem jego głosu. Zdajemy sobie sprawę, że droga do pełnego sukcesu jest jeszcze daleka, ale ponieważ literaturoznawcy, dowiedziawszy się o naszych pracach, zwrócili się z prośbą o zademonstrowanie rezultatów eksperymentu, zjawiliśmy się przed szanownym gronem, aby mogło ono sprawdzić, przekonać się itd...

Kiedy zakończyłam swoje przemówienie, literaturoznawcy zaszuśli, zachrzakali, a ja, uległszy odruchowi próżności, zaproponowałam, żeby dla demonstracji wybrać któryś z tekstów Wielkiego Poety z ubiegłego wieku. Fotokopie rękopisów leżały na stole i należało wybrać z nich czystopis bez poprawek.

Zapadło niezręczne milczenie. Po chwili z pierwszego rzędu podniósł się starzec o prezencji członka rzeczywistego Akademii Nauk, pochylił nad stołem i wyciągnął z pliku jedną kartkę. Zrozumiałam wtedy, że dostojna osobistość ma tremę jak student przed wyciągnięciem pytania na egzaminie. Starzec przejrzał tekst, kiwnął głową i powiedział:

— Ten...

Sania zgrabnie zeskoczył ze sceny, wziął kartkę i podał mi. Cekał mnie jeszcze zaszczyt osobistego naciśnięcia guzika.

Włożyłam papier do głowicy skaningowej, wyregulowałam głośniki, nacisnęłam odpowiednie guziki. Nasz daleki od doskonałości aparat natężył się i nieco ochryplym, szybkim i wysokim głosem zaczął recytować wiersz. Spece od literatury słuchali uważnie, przechyliwszy w różne strony mądre głowy, jakby samym swym wyglądem starali się przekonać nas, że nie po raz pierwszy słyszą głos Wielkiego Poety, choć mogą przysiąc, że żaden z nich nie miał więcej niż sto pięćdziesiąt lat...

Zakończywszy strofę, Poeta westchnął i zamilkł.

Literaturoznawcy rozglądali się, nie bardzo wiedząc, czy należy klaskać... Rozumiałam ich skomplikowaną sytuację. Jeżeli pokazaliśmy im eksperyment naukowy, to klaskać nie wypada. A jeżeli była to po prostu sztuczka magiczna, to można uderzyć w dłoń.

W rezultacie ktoś nieśmiało klasnął, następni poszli w jego ślady i po chwili sala rozbrzmiewała burzliwym aplauzem.

Potem ciepło nam podziękowano, oznajmiono, że nasze eksperymenty mają przed sobą przyszłość, i życzone dalszych sukcesów. Wypełniwszy ten obowiązek, uczeni rozeszli się do domów, gdzie w ciszy i skupieniu mogli przystąpić do nowej, odkrywczej interpretacji nie opublikowanych strof Wielkiego Poety.

A my zebraliśmy aparaturę i pojechaliśmy do laboratorium.

Po drodze wygłosiłam niewielki monolog, który miał na celu uspokojenie Sani. A może i uspokojenie mnie samej? Powiedziałam, że specjaliści, przed którymi wystąpiliśmy, są przyzwyczajeni do uważania się za monopolistów w każdej dziedzinie, która w jakiś sposób dotyczy Wielkiego Poety. To, czego nie rozumieją, odrzucają jako niepotrzebne. Głos Poety jest im też niepotrzebny. Nie potrafią wydusić z niego żadnej korzyści dla rozwoju teorii i historii literatury.

Odniosłam się do owych specjalistów niesprawiedliwie, ale nie mogłam im wybaczyć. Lepiej by darowali sobie i nam oklaski, a spróbowali zadawać rozsądne pytania...

I to wszystko opowiedziałam Mikołajowi.

— Nie przejmuj się, Lera — pocieszał mnie. — Niedługo nauczysz się zgadywać twarze z linii papilarnych. Wtedy milicja będzie cię na rękach nosić! Tylko się nie pomył, bo niewinnego przypudlują!

— Dziękuję ci! — powiedziałam. — Strasznie tu dużo komarów. Chodźmy do domu!

Babcia Głasza czekała na nas z herbatą. Nie rozmawialiśmy więcej o nauce, zresztą nie było jak. Babcia Głasza lubiła mówić i nie znosiła konkurencji.

Po godzinie Mikołaj poszedł do domu, a ja położyłam się spać za zasłonką, spoglądając z przyzwyczajenia na ścianę, gęsto obwieszoną reprodukcjami z gazet i licznymi fotografiami rodzinnymi, pożółkłymi ze starości.

— Gaszę światło — powiedziała babcia Głasza. — Nie masz nic przeciwko temu?

— Zgaś! — odpowiedziałam. — Dobrej nocy!

Babcia Głasza długo wzdychała i przewracała się z boku na bok.

— Nie możesz usnąć?

— Nie mogę — przyznała. — Nie potrzebuję teraz dużo snu. Gdyby nie ty, poszylabym sobie jeszcze troszeczkę.

— Mnie światło nie przeszkadza, przecież wiesz.

— Porządek musi być! A ja tyle lat sama żyć i przywyknąć nie mogę! Przy Antonie to u nas porządek był! Kładliśmy się wcześniej, wstawali rano. W młodości mi to doskwierało, a teraz widzę, miał Anton rację!

— Przyjedź do nas, do Moskwy! Zawsze będziemy ci radzi! A ty ciągle obiecujesz i nie możesz się zebrać...

— Kiedyś się zbiorę... Tyle lat się z miejsca nie ruszałam. Mam przecucie, wiesz przecie...

Wiedziałam. Wszyscy w rodzinie wiedzieli. I cała wieś wiedziała. Anton przepadł bez wieści. Zawiadomienia o jego śmierci babcia Głasza nie dostała. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi miała ciągle nadzieję, że wróci. Więc nigdy nie wyjeżdżała ze wsi, nawet nigdy nie zamykała domu. Nie wychodziła też z chaty nie zostawiwszy w piecyku jedzenia i świeżej esencji w czajniczku. Anton był wielbicielem dobrej herbaty. I babcia Głasza nie przyjedzie do Moskwy — nigdy, aż do końca swoich dni nie opuści posterunku... Zasnęłam.

Zbudziłam się rano i pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, była ślubna fotografia, promieniejąca uśmiechem kędzierzawego Antona. A potem jego zmęczony wzrok na zdjęciu z wojny. I pomyślałam, że zginął mając tyle lat, ile ja teraz. A od tej pory minęło więcej czasu, niż udało mu się przeżyć.

Babcia Głasza szykowała śniadanie. Kiedy usłyszała, że wstałam, zaczęła nakrywać stół. Poszłam do sieni umyć się i stamtąd, przez uchylone drzwi, zapytałam:

- Babciu Głaszo, masz jakieś listy Antona?
- Jakie listy?
- Przecież pisał do ciebie. Choćby z frontu.
- Były dwa listy. A potem jak nożem uciął.
- Daj mi je!
- Po co?
- Daj!

Odtworzyliśmy głos Antona. Był niski, surowy i bardzo zmęczony. Potem Sania Dobriak zapisał go na płycie — babcia Głasza ma adapter.

Po miesiącu otrzymałam list od Mikołaja. Wyjęłam go ze skrzynki spiesząc się do pracy i przeczytałam dopiero w laboratorium.

Droga Kalerio!

Kłania się znany Ci Mikołaj Siemionow. Ciągle zbierałem się do Ciebie napisać, ale miałem dużo pracy, a i pisać nie było o czym. U nas wszystko po staremu, tylko Twoja płyta zrobiła dużo zamieszania — Głafira drugi tydzień zalewa się łzami i mówi, żeś jej życie wróciła. Boję się, że ona do cna zedrze tę płytę — szykuj drugą! A może niepotrzebnie to zrobiłaś...

Nie zdążyłam doczytać do końca. Przyszeli wyglądający na członka rzeczywistego Akademii starzec, w którym poznałam uczonego literaturoznawcę wybierającego tekst Poety. Miał pomysł, który doprowadził Dobriaka do wybuchu entuzjazmu. Przyniósł mianowicie ze sobą zupełnie pokreślony brulion Wielkiego Poety, w którym od stu lat specjaliści usiłują odczytać dwa wersy. Uczony zdecydował podjąć próbę odczytania zamazanych linijek na naszej maszynie: a nuż Poeta wypowie je głośno i coś tam zrozumiemy?

Nie bardzo wierzyłam w sukces, ale nie protestowałam. Sania wziął się do przygotowywania aparatu, a ja kończyłam czytać list:

Prosiła, żeby Cię pozdrowić, obiecuje przyjechać do Moskwy, ale pewnie jak zwykle nie dotrzyma przyrzeczenia. A oto jej własne słowa: „Jak w telefonie, całkiem jak w telefonie”. Tak mówi o głosie Antona. Pamiętasz, pytałem Cię, po co to komu potrzebne? Teraz mam już naoczny dowód i cofam swoje wątpliwości. Nawet sam mam do Ciebie prośbę: zrób płytę i dla mnie. Malutką. Karteczkę załączam. Przeleżała u mnie ze dwadzieścia lat.

Pozostają z szacunkiem

Mikołaj

Rozwinęłam poźólką karteczkę, zapisaną okrągłymi, jeszcze dziecinnymi literami: *Kola tak tam było napisane ty myślisz, że jestem jeszcze za młoda, żebyś zwrócił na mnie uwagę. A to wcale nie tak...*

— Kalerio Pietrowna — powiedział uczoney. — Proszę posłuchać!

Dopiero wtedy dotarło do mnie, że aparat pracuje i znajomy głos Wielkiego Poety to wznosi się dyszkantem, to ginie, zamazany w brulionie.

— Niech pani słucha!

— Jeszcze raz? — zapytał Dobriak.

— Oczywiście! Chociaż nie mam już żadnych wątpliwości, że drugi wers zaczyna się od słów: „cichy geniusz”. I na nic wszelkie dyskusje! Osobiście to potwierdził!

A kiedy uszczęśliwiony badacz odszedł, zwróciłam się do pobladłego z dumy Sani:

— Przeleć jeszcze tę notatkę!

— Też jego? — zapytał Sania nie patrząc na karteluszek.

— Nie.

Sania włączył Maszynę.

— Kola — rozległ się dziecinnie, drżący od łez głos — ty myślisz, że jestem jeszcze za młoda, żebyś zwrócił na mnie uwagę. A to wcale nie tak...

— A to co znowu! — wykrzyknął Sania. — Przedszkole? Cóż to za idiotyzmy?!

— Dobra, dobra — zaśmiałam się. — Oddawaj karteczkę! A na przyszłość radzę ci nie obrażać ukochanej szefowej! Zauważ, że ona nie zawsze była dorosła.

— To pani! Jak to! Tak upokarzać się przed mężczyzną!

Dobriaka wyraźnie trafiał szlag.

— Miałam wtedy piętnaście lat — powiedziałam pełnym skruchy głosem. — A on był prawdziwym kierowcą...

przełożyła Anita Tyszkowska

Skarbonka

Normy moralne są różne w różnych zakątkach galaktyki, a świat tęczowych pokus, jakie rozciąga przed człowiekiem nauka, bardzo pociągająca. Spróbujcie postawić się na miejscu stworzenia, według nas całkowicie niemoralnego: jak by się człowiek prowadził na jego zupełnie niemoralnym miejscu? Oceńmy na przykład postępek Miszy Standala: dla mieszkańca Wielkiego Guslaru jest on całkowicie zrozumiały, ale czy potrafiliby go zaaprobować obywatele z jakiejś odległej planety? Może w nich Misza Standal wyzwoliłby uczucia nie mające nic wspólnego z przyjęciem do aprobowanej wiadomości? Mogłyby z tego wyniknąć kłopoty na kosmiczną skalę...

Misza Standal siedział na skwerku przy centralnym placu miasta i czekał na autobus do Wologdy, którym miała przyjechać Szuroczka Rodionowa. Autobus się spóźniał i różne, nabyte u ciotki Ariadny, zdążyły już zwiędnąć. Był upał. Godzina trzecia po południu.

Kiedy przybysz z kosmosu przechodził obok ławeczki, Standal nie od razu zorientował się, że to właśnie przybysz z kosmosu, tak świetnie był przebrany za człowieka.

Ale Misza zobaczył skarbonkę.

Przybysz tulił ją lewą ręką do boku tak, jak pchacz niesie kulę, wchodząc w starannie na ogół wyrysowane białe kółeczko. Skarbonka była pomalowana na zielono i żółto i z daleka mogła wyglądać jak duże jabłko.

— Pozwoli pan? — zwrócił się przybysz do Standala.

— Bardzo proszę!

Przybysz usiadł obok Standala, położył skarbonkę na kolanach i przykrył ją dłońmi. Milczał przez chwilę patrząc na dzwonicę i latającego nad nią kruka. Potem spojrział na Standala i powiedział:

— Autobus się spóźni. Będzie za godzinę.

Natura wyraźnie pozbawiła go umiejętności korzystania z tonu pytającego.

— Skąd pan wie? — zapytał Standal.

— Wiem.

Teraz już Standal nie miał cienia wątpliwości, że ma do czynienia z przybyszem z kosmosu.

— Z daleka pan do nas przyleciał?

Mieszkańcy sąsiednich miast nie mogli się nadziwić stoickiemu spokojowi, z jakim mieszkańcy Wielkiego Guslaru przyjmowali przybyszy z kosmosu. A przecież nie ma się czemu dziwić — siła przyzwyczajenia...

— Nazwa mojej planety niczego panu nie powie.

Standal kiwnął głową. Zgadzał się całkowicie z przybyszem.

— Byłem na kursie. A teraz tracimy tutaj czas.

— Przecież nie możemy przyspieszyć autobusu!

— Ale możemy przyspieszyć czas!

Standal uprzejmie powstrzymał się od uśmiechu.

Przybysz świdrował go wzrokiem. Miał ciemne, smutne i jakieś takie namolne spojrzenie.

— Ludzie — powiedział tonem pełnym potępienia — to wrogowie czasu. Wyrzucacie go, zabijacie, niszczycie i tratujecie.

— Nie będę się z panem spierał — odparł grzecznie Standal, spoglądając w prawo, skąd powinien nadjechać autobus.

— Już od godziny nic pan nie robi, tylko siedzi i czeka na autobus, który w tej chwili zmienia nawaloną kichę gdzieś tak w odległości czterdziestu kilometrów od pańskiego miasta. Wezmę od pana zbędny czas.

— I co się stanie?

— Autobus przyjedzie. Spotka pan swoją dziewczynę. A ja schowam sobie godzinę do tego akumulatora.

Przybysz podniósł dłonie, żeby Standal mógł lepiej przyjrzeć się skarbonce.

— Niklowo-kadmowy? — zapytał Misza, wykazując w ten sposób niejaka znajomość literatury popularnonaukowej.

— Nie, szklano-cynowy — poważnie odpowiedział przybysz. — Ale z podwójnym separatorem drewnianym. Unikalna rzecz.

— Rozumiem — odpowiedział Misza, bo oczywiście niczego nie rozumiał. — Ale po co panu czas?

Uwierzył przybyszowi od razu, chociaż problemy akumulacji czasu były dla niego czymś zupełnie nowym.

— Czas jest we wszechświecie największym skarbem, jego brak gubi całe cywilizacje. Jestem agentem zbierającym czas. To, co panu jest niepotrzebne, w innym miejscu kosztuje bająskie sumy.

Mówiąc to przybysz wyciągnął z kieszeni srebrzysty kabelek, jeden jego koniec umocował w skarbonce, a drugi, z igłą na końcu, zbliżył do ręki Standala.

— Nic nie będzie bolało — powiedział. — Jak tylko pan dotknie końca przewodu, czas, który jest panu niepotrzebny, przemieści się do mojej skarbonki.

Upał wisiał nad miastem, autobus nie nadjeżdżał.. Standal wyciągnął rękę. Co prawda powinien się liczyć z tym, że przybyszowi nie jest potrzebny czas, lecz — na przykład — krew Standala, ale prawdopodobieństwo czegoś takiego było bardzo nikle: między przedstawicielami wysoko rozwiniętych cywilizacji, którzy trafiali do Wielkiego Guslaru, jako do tej pory nie było wampira.

Standal poczuł lekkie ukłucie, a potem coś trzasnęło mu w głowie.

— Dziękuję! — powiedział przybysz. — Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

Schował kabelek do kieszeni i wstał z ławki. Misza uprzejmie skłonił głowę i zobaczył, że cienie na ziemi wydłużyły się. Podniósł wzrok — kłębiaste obłoczki, które wisiały na niebie, gdzieś się rozplynęły. Standał nie zdążył się nad tym głębiej zastanowić, bo z prawej strony pokazał się zakurzony, zmęczony autobus. Trzeba by podziękować przybyszowi, pomyślał Standał, ale gościa z galaktyki nie było już widać. Prawdopodobnie polował na innych wałkoniących się mieszkańców metropolii znad rzeki Guś. A może nie trzeba było nikomu dziękować, bo autobus po prostu przyjechał sam z siebie? A przybysz niczym nie różnił się od tych namolnych kosmitów, którzy coraz to wpadali do Wielkiego Guslaru ze swoimi notesami i magnetofonami, żeby prowadzić psychologiczne badania Ziemi.

Szurowca bardzo się ucieszyła, że Standał na nią czekał. Standał powiedział:

— Wybacz, że róże zwiędły! Strasznie gorąco!

— Drobiazg — odparła Szurowca. — Wstawię je do wody. Nie spóźnilibyśmy się, gdyby nie ta guma.

— Jaka guma?

— No, kicha! Straciliśmy godzinę. Albo i więcej.

Standał spojrział na zegarek: parę minut po czwartej. Nie jest co prawda wykluczone, że lekko się na ławeczce zdrzemnął, ale mimo to miał ogromną ochotę jeszcze raz spotkać się z przybyszem. Jeżeli mówił prawdę, to w Wielkim Guslarze trafił na złotą żyłę...

Wieczorem, odprowadziwszy Szurowcę z kina, Standał spotkał na ulicy Korneliusza Udałowa, szefa przedsiębiorstwa budowlanego. Korneliusz bardzo się spieszył.

— Misza! — powiedział. — Co będzie z naszymi sobotnimi rybkami?

— Do soboty jeszcze kawał czasu — odpowiedział Misza. — Pięć dni!

— Jeżeli nie mniej — zagadkowo powiedział Udałow i pognął dalej.

— Odprowadzę pana! — krzyknął Standał i popędził za Korneliuszem.

— Nie trzeba.

— Dlaczego?

— Spotkanie o charakterze osobistym!

I wtedy Standał zapytał wprost:

— Oddaje pan czas przybyszowi z kosmosu?

— Co? — Udałow zatrzymał się. — Wiesz o tym?

— Sam oddawałem.

— To idziemy!

Szli szybko, a Korneliusz opowiadał:

— Byłem w sklepie, kupowałem żyłkę. Byli też Łóżkin i Grubin. Ten przybysz słuchał, o czym mówimy, a potem podszedł do mnie i zapytał: „Ciężko, Korneliuszu Iwanowiczu?” „Co ciężko?” „Czekać ciężko.

Do soboty pięć dni. Całe pięć dni do tej słodkiej chwili, kiedy będzie można popluć na robaczka, zamachnąć się szeroko i zatopić haczyk w srebrzystej toni jeziora Kopenhagen". Jasna sprawa, człowiek człowieka zrozumiał! A on dalej: „Chciałbyś, Korneliuszu, żeby już jutro była ta słodka sobota?” „Dowcipniś!” — odpowiadam, a on mi na to: „Nie dowcipniś, nie dowcipniś! Przyjdź wieczorem do hotelu Guś, pokój numer trzy, i oddasz mi zbędny czas”. Myślę sobie: żartuje, trafiają się przecież kosmici z poczuciem humoru... Ale potem wracam do domu, na biurku bilans kwartalny, żona głowę suszy... Nie wytrzymałem, napisałem karteczkę...

— Jaką karteczkę? — przerwał Standal.

— Radził napisać. Napisz, mówi, karteczkę, że cię wysłali w delegacji. Żeby nikt nie pytał: a gdzie Udałów?

— Coś mi się ta kosmiczna dobroczynność nie podoba — powiedział Standal. Ale nie zdążył rozwinąć swojej myśli, bo stanęli przed hotelem i Korneliusz wszedł do środka.

A Standal został na ulicy, żeby poczekać i w spokoju kontynuować rozpoczęty proces myślenia.

Minęło jakieś piętnaście minut, kiedy nagle rozpoznał w świetle latarni jeszcze jedną znajomą twarz. Twarz należała do Serafimowa. Lekko opuchnięta buźka zdecydowanie znudziła się już całemu miastu, bo nigdy właściwie nie opuszczała eksponowanego miejsca na tablicy prezentującej zakłady nadgusiowego grodu. Po tym jak Standal w pryncypialnym felietonie obnażył bezlitośnie to antyspołeczne indywiduum, Serafimow co prawda nie przestał zalewać swej powszechnie znanej twarzy, ale zapalał do Miszy głębokim szacunkiem, jako że dzięki niemu zyskał opinię pierwszego moczymordy w mieście.

Zobaczywszy Standalą Serafimow szeroko się uśmiechnął, wyciągnął zza pazuchy wymięty wycinek z gazety i pomachał nim w charakterze powitania.

— Pamiętam! — wykrzyknął! — Podczytuję sobie. Aleś mi kota popędził!

— A pan dokąd? — zapytał surowo Misza, który w głębi swego jestestwa poczuł się odpowiedzialny za losy stworzonego przez siebie antybohatera.

— Jest tu jeden dobry człowiek — poinformował Serafimow. — Pomoże mi!

— W czym pomoże?

— Pokój numer trzy. Zbiera zbędny czas.

— A panu co do tego?

— Do wypłaty ile? Sześć dni! A z poprzedniej ile piątek zostało, co?

I udzielając sam sobie odpowiedzi Serafimow pogmerał ręką w kieszeni, skąd doniósł się żaloszny brzęk nielicznych znajdujących się tam jeszcze monet.

— Co on panu obiecał?

— Zaśniesz, uważasz, powiada, a zbudzisz się i już wypłata!

— A do wypłaty kto będzie za pana pracował?

— Jaka praca! — westchnął Serafimow. — Czysta resocjalizacja.

I z tymi słowami na ustach zniknął w drzwiach hotelu.

Przez następne pół godziny wchodzili w te drzwi różni ludzie. Niektórzy wracali, niektórzy nie. Wybiła godzina jedenasta, a Udałowa jak nie było, tak nie było. Standal zdecydowanie przekroczył próg i zastukał do pokoju numer trzy.

— Proszę wejść! — usłyszał.

Pokój był nieduży. Łóżko przykryte różowym kocykiem w wiewiórki, stół, na nim karafka i dwie szklanki. Obok karafki leżała skarbonka.

— Ile pan oddaje? — zapytał przybysz z miejsca, nie poznawszy Standola.

— Nic nie oddaję — odpowiedział Standal. — Chciałbym porozmawiać.

— Dobra! Tylko krótko! Ciężki dzień. Chcę się położyć. Jutro będzie jeszcze gorzej.

— Dużo pan zebrał?

— Dzisiaj więcej niż wczoraj — mętnie zeznał kosmita. — Ruszyła lawina.

— A gdzie Udałow?

— Niech go pan szuka w sobotę. Spieszył się na ryby.

— Nie w tym rzecz. Gdzie jest t e r a z ?

— Nie mam pojęcia. Jestem agentem handlowym, szczegóły techniczne mnie nie interesują. Do soboty go nie ma, nigdzie go nie ma.

— A Serafimow?

— Pojawi się w dzień wypłaty. Reszta się też w swoim czasie znajdzie. A tak w ogóle to mój dzień pracy się skończył, ale mogę wziąć od pana po znajomości czas do szóstej wieczór jutro.

— Po co? — nie rozumiał Standal.

— Szuroczka Rodionowa kończy pracę o szóstej — wykazał się przybysz znajomością realiów.

— Nie, dziękuję — powiedział Standal i pożegnał się.

Czuł się paskudnie. Był jakoś dziwnie rozdrażniony. Szczególnie brzydziło go to, że ruszyła lawina.

Następnego dnia Standal rozumiał, że kosmita nie tracił ani chwili. Na ulicach było dużo mniej ludzi, autobus jechał prawie pusty, w redakcji gazety miejskiej, gdzie Standal pracował, też brakowało paru osób. Wieść o przybyśzu rozniosła się po całym Wielkim Guslarze. Standalowi stanęła przed oczami upiorna wizja opustoszałego miasta, którego ostatni Mohikanie tłoczą się w kolejce do pokoju numer trzy.

Należało coś zrobić.

Najlepiej byloby rozbić tę piekielną skarbonkę. Ale co będzie, jeżeli ludzie, którzy diabli wiedzą gdzie spędzają swój oddany przybyszowi

czas, nie wróćą na łona swych rodzin? Standal nie mógł się skupić: przeszkadzały mu ciągle dzwonki telefonu i wizyty żon, które zgubiły swych mężów, i mężów, którym gdzieś zapodziały się żony. Wszyscy ci nieszczęśnicy szturmowali drzwi redakcji, wierząc, że pomoc może im tylko prasa.

Szczególnie męczące były odwiedziny Kseni Udalowej, która nie wierzyła w przybysza, bo była święcie przekonana o tym, że jej ukochany Korneliusz udał się do Poćmy w ramiona mitycznej Rimmy.

Najpierw Standal tłumaczył, na czym cała sprawa polega, ale potem przestał, bo niektórzy z gości rzucali się błyskawicznie w stronę hotelu, żeby oddać przybyszowi swój czas i połączyć się z rodzinami.

Szuroczka czekała na Standala na skwerku. Serce mu zabiło.

— Miszeńka — powiedziała patrząc na niego błyszczącymi oczami. — Tak mi bez ciebie smutno...

— Mnie bez ciebie też — odpowiedział Standal.

— Zwolniłam się i od drugiej próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale ciągle było zajęte.

— Obłądny dzień — powiedział Standal. — Zaraz ci wszystko opowiem.

— Dobrze, że Miłka opowiedziała mi o kosmicie — mówiła dalej Szura — który tu przyjechał zbierać zbędny czas.

— I co? — chłodno zapytał Standal.

— Poleciałam do niego, oddałam mu cztery godziny i jestem tutaj.

— To nie był zbędny czas! — wrzasnęła na cały skwer Standal. — Nie ma zbędnego czasu! Okradziono cię!!!

— Ale za to od razu się spotkaliśmy...

— Stój tu! — zakomenderował Standal. — Stój i nigdzie się nie ruszaj!

Szuroczka posłusznie znieruchomiała.

Standal dobiegł do hotelu, rozepchnął kolejkę pragnących pozbyć się zbędnego czasu i wdarł się do pokoju przybysza właśnie wtedy, kiedy babcia Stiepankina, która — o czym Standal wiedział — czekała na wnuka mającego za pół roku wrócić z wojska, rozplywała się w powietrzu.

— A, to pan! — rozpoznał Standala przybysz. — Dawno się nie widzieliśmy. Zauważył pan, jak staruszka zniknęła? Sześć miesięcy z niej wyciągnąłem!

— Pan sobie zdaje sprawę, że zwyczajny z pana złodziej i łobuz? — zapytał złowieszczo Standal.

— Nieprawda! — oburzył się przybysz, przyciągając do siebie skarbonkę: widać miał wysoko rozwiniętą intuicję. — Robię to, o co mnie ludzie proszą. Wszyscy są żywi i zdrowi.

— Gdzie oni są?

— Nieważne. Jeżeli powiem panu, że przebywają w podprzestrzeni zwartej, to pan się uspokoi?

— Nie! — twardo powiedział Standal. — My, ludzie, mamy pewną słabość: wydaje nam się, że życie składa się z oczekiwania. Kto nie ma na co czekać, ten do niczego nie dąży. I pan o tym doskonale wie!

— Wychodzę naprzeciw ludzkim pragnieniom. Czego się pan cze-
pia? — Przybysz bezczelnie się uśmiechał.

— Pan jest przestępcą. Złodziejem! — warknął Standal.

— A propos przestępców — powiedział kosmita. — Mam pewien projekt. Chodzi o więzienie. Tylko nie wiem, jak się tam dostać. Może jakieś skromne przestępstwo? Za co u was dają piętnaście dni? Tyle by mi wystarczyło.

— Trafić to pan tam może, ale... W każdym razie skarbonki panu wziąć ze sobą nie pozwolą.

— Myśli pan? W takim razie mam inny pomysł.

I wtedy Standal zrozumiał, że nie wolno dłużej czekać.

Rzucił się na skarbonkę jak tygrys i z całej siły rąbnął nią o podłogę. Mikroskopijne detale prysnęły na wszystkie strony, jakby skar-
bonka było wypełniona mrówkami.

— Proszę wybaczyć, nie miałem innego wyjścia.

— Ja się poskarżę! — krzychał przybysz zbierając na kolanach re-
sztki skarbonki. — Pan myśli, że separatory poniewierają się na uli-
cach?! Żaden warsztat mi tego nie przyjmie!

Standal wyszedł z pokoju. Naprzeciw szła Ksenia Udałowa i ciągnęła
za rękę swego Maksymka. Na policzkach błyszczały jej ślady łez.

— Gdzie on?! — krzyknęła. — Nie mam siły czekać! Proszę nas
puścić do ojca i męża!

— Proszę wracać do domu — poradził jej Misza Standal. — Myślę,
że on już na panią czeka.

Spojrzał na zegar wiszący nad biurkiem recepcjonisty. Wahadło ze-
gara zatrzymało się w wybitnie niewygodnej pozycji. Standal podniósł
do ucha swój zegarek. Zegarek stał.

— No, no! — powiedział głośno. — Ale się tego nazbierało!

Szuroczka posłusznie czekała na niego na skwerku.

— Stłukłem skarbonkę — oznajmił Standal.

— Wiem. Stąd tylu ludzi na ulicy. I zegarek mi stanął. To już tak
na zawsze?

— Zaraz będzie po wszystkim.

— Wielu będzie niezadowolonych z tego, co zrobiłeś, Misza — po-
wiedziała Szuroczka.

— Wiem — odparł Standal. — Ale nie mam śladu wyrzutów su-
mienia. Przecież mnie rozumiesz?

— Rozumiem — powiedziała Szuroczka z pewnym smutkiem. —
Ale tak trudno mi na ciebie czekać...

Akurat wtedy podszedł do nich ponury Serafimow.

— Te, artysta — jęknął. — Pożycz rubla do wypłaty!...

przełożyła Anita Tyszkowska

Każdy ma co wspominać

Niemal wszystkie ludzkie tragedie zaczynają się od jakiegoś głupiego, niezauważalnego drobiazgu. To właśnie niezauważalność pierwszego impulsu sprawia, że tragedia spada na człowieka z nieoczekiwaną, miazdzącą siłą.

Przemawiając na kwartalnej sesji miejskiej rady narodowej Korneliusz Udałow, nie wiedzieć czemu, powołał się na doświadczenia swojej młodości, na twórczy zapał budowlanych wznoszących pod koniec lat czterdziestych gmach domu towarowego. I czuł się mile połączony uwagą, z jaką słuchacze chłonęli ów historyczny przyczynek.

Po naradzie podszedł do Udałowa towarzysz Białosielski i powiedział:

— Najwyższy czas podzielić się bogatym doświadczeniem z młodzieżą. — Po czym przywołał redaktora guslarskiej gazety powiatowej, Malużkina, i dodał: — Towarzyszu Malużkin, nie przegapcie.

— Nie przegapimy! — zapewnił gorąco Malużkin.

Już następnego dnia, po pracy, w domu Udałowa zjawił się Misza Standal, reporter i stary znajomy Korneliusza Iwanowicza. Usiadł na brzeжку ławki pod krzakiem bzu i przez jakiś czas przyglądał się, jak Udałow z Grubinem przegrywają w domino do swych sąsiadów: Łożkina i profesora Lwa Christoforowicza Minca, wielkiego wynalazcy, czasowo zamieszkałego w mieście Wielki Guslar.

Korneliusz Iwanowicz domyślał się celu wizyty Standala, ale będąc człowiekiem skromnym udawał, że Misza wpadł do niego po prostu tak sobie albo że chce pożyczyć kołowrotek, bo zamierza wybrać się na ryby.

Kiedy rozgrywka się skończyła, Misza z dezynwołturą, którą usprawiedliwiałby tylko jego młody wiek, rozwiął tę iluzję mówiąc:

— A ja przyszedłem po artykuł.

Wszyscy wpadli w lekki popłoch, jako że przedtem Udałow nigdy artykułów nie pisał.

— Może sam napiszesz — zaproponował Udałow niepewnym tonem. — Ja powiem co trzeba, a ty przejrzyj w bibliotece stare gazety, co?

— Nie, Malużkin kazał, żeby pan to zrobił, Korneliuszu Iwanowiczu — rozczarował go Standal. — Redaktor otrzymał stosowne wskazówki.

Nastąpiła pauza. Udałow patrzył w ciemniejące letnie niebo, po którym płynęła zielonkawa przedwieczorna chmura, i bardzo krępował się sąsiadów.

— Od kiedy to — usłyszał zjadliwy głos emeryta Łożkina — nasz Korneliusz pisze do prasy?

Wiadomo było, dlaczego zaczął właśnie Łożkin. On sam co najmniej raz w miesiącu zanosił do redakcji gniewne listy piętnujące nieporządki w mieście, ale ponieważ większość jego korespondencji po sprawdzeniu okazywała się być niezbyt precyzyjna pod względem faktograficznym, to stosunki emeryta z gazetą nie układały się właściwie, a więc rzecz jasna nie chciał, żeby ułożyły się pozytywnie komuś innemu.

— To tylko taka... notatka — odpowiedział mu Udałow i spłoszył.

— Nieprawda! — powiedział Misza Standal zakładając okulary i wyciągając z kieszeni wielki notes spęczniały od adresów i wywiadów. — Korneliusz Iwanowicz wystąpi na naszych łamach z obszernym materiałem poświęconym historii wielkoguslarskiego przemysłu budowlanego i heroicznej pracy w latach jego młodości.

— I niby kto tak heroicznie pracował? — zapytał Łożkin, który był pewien, że tylko jemu jednemu na całym świecie udało się w swoim czasie bohatersko popracować.

Do tego momentu Udałow był pewien, że odmówi tworzenia artykułu, bo nawet w szkole zawsze miał trudności z wypracowaniami. Ale ostatnie słowa Łożkina wzbudziły w nim święte oburzenie. I następny krok na drodze ku tragedii wyraził się w zdaniu, które mimowolnie wyrwało się Korneliuszowi Iwanowiczowi:

— Każdy ma co wspominać!

— Korneliusz Iwanowicz ma rację — powiedział profesor Minc, starym układając kostki domina w pudełku. W ciągu ostatnich miesięcy bardzo się do tej gry zapalił, starając się na czas dominowych batalii wyłączać swoją genialną głowę, gdyż w przeciwnym razie potrafiłby zapewne obliczyć wynik partii jeszcze przed jej rozpoczęciem. — Każdy z nas jest skarbnicą wspomnień jedynek w swoim rodzaju, bezcennych... Jednak wspomnienia te niestety zapadają się w otchłań czasu, wypadają z pamięci i giną w ten sposób dla potomstwa. I dlatego każde nowe pokolenie częściowo powtarza nasze błędy. My zaś mamy obowiązek pomagać dorastającemu pokoleniu.

— To pokolenie nie ma czasu korzystać z naszych doświadczeń, bo się rozkoszuje — zauważył Sasza Grubin i z tymi słowy wskazał ręką otwarte okno w mieszkaniu Gawriłowów.

Na parapecie okna siedział wyrostek Gawriłow z głową obłożoną ogromnymi słuchawkami, co zresztą stojącemu obok głośnikowi nie przeszkadzało ryczeć na pełny regulator.

— A właśnie że napiszę! — powiedział Udałow. — O wszystkim napiszę. I o tym, jak głodowaliśmy, jak marziliśmy, ale szliśmy na stanowiska pracy, i jacy byliśmy uświadomieni.

I energicznie wstał z ławki. Standal wstał również, ale Korneliusz powiedział:

— Idź, Misza, odpocząć. Sam sobie poradzę. Jutro koło południa artykuł znajdzie się na twoim biurku.

Udałow poszedł do siebie, a Łożkin mruknął:

— Wątpię, do tego jest potrzebny talent.

Udałow wszedł po schodach nie wiedząc, że kroczy ku swojej tragedii. W domu była tylko jego żona, Ksenia, która bardzo się na jego widok zdziwiła, gdyż zgodnie ze swym wieloletnim zwyczajem Udałow powinien jeszcze jakies półtorej godziny grać w domino, a dopiero później zjawić się w domu z miną człowieka niezmiernie znużonego ciężką pracą i zażądać kolacji.

Nic takiego nie nastąpiło.

Udałow zdecydowanym krokiem podszedł do biurka syna, Maksymka, gdzie od razu znalazł czysty zeszyt, a potem długo grzebał w szufladach w poszukiwaniu piszącego długopisu. Długopisu nie znalazł, wziął ołówek, otworzył zeszyt i zamarł nad nim tak samo, jak zamierzają niemal wszyscy wielcy pisarze przed nakreśleniem pierwszego słowa.

Ksenia była tak zaskoczona, że wyszła z kuchni, stanęła w drzwiach i zapytała:

— Coś narozrabiał? Pisziesz wyjaśnienie?

— Nie — powiedział Udałow. — Muszę napisać artykuł. Artykuł u mnie zamówili.

Ksenia, rzecz jasna, nie uwierzyła, bo jej mąż nigdy artykułów nie pisał. Podeszła bliżej i zobaczyła, że zeszyt jest pusty.

— Gdzie ten artykuł? — zapytała. — Nie widzę.

— Przecież dopiero nad nim myślę. Ja myślę, a ty mi stoisz nad głową. Czy w ten sposób da się napisać artykuł?

— Ciekawe, że to się teraz nazywa artykułem!

Ksenia, kobieta poczciwa, ale nie najmądrzejsza, nieustannie podejrzewała męża o niewierność małżeńską, chociaż on nie dawał jej do tego żadnych powodów. Brak podstaw wcale Kseni nie uspokajał, nabierała przez to jedynie przekonania, że mąż jest nie tylko niewierny, ale w dodatku jeszcze piekielnie sprytny, skoro w ciągu trzydziestu lat pożycia ani razu nie wpadł. Dlatego niecierpliwie czekała na dzień, w którym wreszcie przyłapie męża na gorącym uczynku.

Kseni wydawało się, że jeśli teraz wróci do kuchni, to Udałow zabierze się do pisania czułego liściku albo, co gorsza, zacznie tworzyć dla tej wydry sonety miłosne. Jednak wiedziała, że jeśli tak będzie stała w drzwiach, to nic nie wystoi. Korneliusz przy tym swoim sprycie będzie po prostu siedział i już. A więc musiała udać, że mu wierzy, a potem po cichu wrócić i złapać za rękę.

— Udław się tym swoim artykułem! — rzuciła pogardliwie i wymaszerowała dumnie do kuchni.

A Udałow pomachał ołówkiem nad czystą stronicą i wreszcie na-

pisał: *Jak dziś pamiętam*. Potem zaczął się zastanawiać, co on właściwie pamięta.

Przyszedł na budowę po siódmej klasie, pod koniec wojny. Wzięli go na praktykanta, ucznia tynkarza. A kiedy to było? Chyba zimą. Nie, padał wtedy deszcz. Był tam brygadzysta, wujaszek Lesza. Nie, wujaszek Pasza. Taki z wąsami. Wąsy pamiętał doskonale, co go bardzo ucieszyło. Wąsy stały się jakby punktem zaczepienia. Potem wujaszek Sasza wyjechał na Daleki Wschód albo do Azji Środkowej. To był dobry nauczyciel. Zupełnie nie pił i Korneliuszowi, którego ojciec zginął na froncie, bardzo współczuł. Na czym to współczucie polegało? Dobrze byłoby sobie przypomnieć, bo w artykule powinno znaleźć się kilka ciepłych słów o nauczycielu pracującej młodzieży. O tym, jak mówił: „Ty, Kornelku, jesteś jak guzik. Okrągły i ciągle kręcisz się pod nogami, że aż boję się nadepnąć”. A może powiedział to nie do Korneliusza, tylko do Goszki Sidorowa, który ożenił się z Dusią. Nie, z Dusią to on ożenił się później, a z początku chciał ożenić się z Maszą. To była taka śmieszka z czarnymi oczami i długim warkoczem. Goszka całował się z nią w ogródku, ale to było później, chyba w czterdziestym siódmym. I ręka Udałowa pogrążonego w mglistych wspomnieniach wypisała na kartce wielkimi literami Masza. A potem jeszcze większymi Maszeńka.

W tym momencie słodkie wspomnienia pierzchy spłoszone pełnym oburzenia krzykiem Kseni, która podkraǳła się z tyłu akurat na czas, żeby zobaczyć, jak występna ręka męża wypisuje na papierze kobiece imię.

— Wiedziałam! — oburzała się Ksenia, i jej oburzenie, pokonując ściany i mury, przetoczyło się przez cały układający się już z wolna do snu dom. — Rozpustnik, świntuch! Wyprowadź się do niej, żeby twoje dzieci nie musiały patrzeć na twoją bezwstydną gębę!

Dalszy ciąg monologu Kseni utrzymany był w tym samym duchu, więc nie ma potrzeby cytować go in extenso.

Udałow nie odezwał się nawet wtedy, kiedy w kierunku jego głowy poszybował głęboki talerz, gdyż nie mógł przecież pojawienia się imienia obcej kobiety tłumaczyć roztargnieniem zamysłonego twórcy. Zresztą, kto by w to uwierzył...

Kiedy w dziesięć minut później znalazł się na schodach, gdzie postanowił przeczekać przeciągającą się burzę, nie czuł się nawet skrzywdzony. Byłby zupełnie spokojny, gdyby z lat heroicznej młodości wyłoniły się jakieś inne barwne szczegóły poza warkoczem Maszy i dobrocią wujaszka Paszy. A przecież jeśli wujaszek Lesza jeszcze jakoś mieścił się w artykule, to Maszeńka, aby dostąpić tego zaszczytu, musiałaby dokonać czegoś bardziej konstruktywnego niż całowanie się z chłopakami.

Udałow stał na klatce schodowej i czuł przytłaczające zmęczenie wynikające z bezsilności. Musiał się kogoś poradzić.

Nogi same przywiodły Korneliusza pod drzwi profesora Minca.

Na szczęście zza drzwi dobiegły odgłosy meczu piłkarskiego. To był dobry znak — profesor nie pracował, lecz odpoczywał. Udałow zapukał i wszedł.

Wypoczynek profesora Minca był pojęciem względnym. Wprawdzie wybitny wynalazca rzeczywiście słuchał sprawozdania z meczu piłkarskiego, rozwiązywał krzyżówkę i lewą ręką rozkładał pasjans „Grób Napoleona”, ale jednocześnie mózg Lwa Chrystoforowicza nadal z wyteżeniem pracował, kończąc rozwiązywanie nierozwiązalnego problemu kwadratury koła.

— Czym mogę służyć? — zapytał Lew Chrystoforowicz, który był znakomitym fizjonomistą. — Ma pan jakieś kłopoty domowe?

Rzecz zrozumiała, że doskonale słyszał monolog Kseni — bardzo wyraźnie słyszeli go nawet mieszkańcy Wologdy.

— Nie o to chodzi — powiedział Udałow. — Problem tkwi w czymś innym. W artykule.

— Głupstwa pan gada! — obruszył się profesor. — Każdy z nas ma coś ludziom do powiedzenia.

— Zapomniałem — wyznał Udałow. — W ogólnych zarysach pamiętam, a szczegóły wyleciały mi zupełnie z głowy. A jutro mam oddać artykuł, no i uspokoić Ksenię. Dopóki ona nie uwierzy, że chodzi tylko o artykuł dotyczący dalekiej, zamierzchłej przeszłości, nie zaznam szczęścia rodzinnego.

— Pamięć pana zawodzi?

— Myślałem, że pamięć mam w porządku, a tymczasem nic! Wrażenia zostały, i to nawet pozytywne, a szczegółów tyle co kot napłakał. Terminów nie pamiętam, dat... Co robić?

— Robić? — Minc zamyślił się i podszedł do wiszącej nad biurkiem szerokiej półki, na której stały znane już całemu domowi i całej cywilizowanej ludzkości dekokty i preparaty jeszcze dziś nie znane nauce, ale jutro... Jutro z pewnością dokonają w niej przewrotu.

Wynalazki uniwersalnego geniusza Lwa Chrystoforowicza są nieprzewidywalne, paradoksalne i zdumiewające. A każdy z nich ma na celu uszczęśliwienie ludzkości. Niestety, owe odkrycia tak dalece wyprzedzają swój czas, że ich skutki nie od razu przyjmują się w życiu codziennym, a rezultaty okazują się wręcz przeciwne do oczekiwanych. Właśnie dlatego pobożne życzenia profesora, zbliżającego się do półki z wynalazkami, w rzeczywistości stanowiły kolejny krok na drodze ku osobistej tragedii Korneliusza Udałowa.

Minc przesunął ręką nad butelkami, fiolkami i pudełeczkami, aż wreszcie jego palec wskazujący znieruchomiał nad jednym z naczyń.

— To jest właśnie to, czego potrzebujemy.

Wziął do ręki flakonik, w którym znajdowały się sinawe, niejadalne na oko opłatki. Wyrząsnął jeden z nich na kartkę papieru i podał Udałowowi.

— Co to jest? — zapytał nieufnie Korneliusz Iwanowicz.

— Cerebromag. To jest nazwa prowizoryczna. Farmakolodzy w swoim czasie ochrzczą ten preparat po swojemu. Rozumie pan?

— Nie rozumiem — odparł Udałow. — I medycyna tego nie zatwierdziła?

— Zwyczajny biurokratyzm — zapewnił go Minc. — Trzeba sprawdzić na myszach, karaluchach, małpach i ochotnikach. Dopiero po tym wszystkim dopuszczają lekarstwo do produkcji seryjnej. Ten przepis jest rozsądny, ale nie w odniesieniu do mnie. Mogę osobiście w pełni zagwarantować pańskie bezpieczeństwo, Korneliuszu Iwanowiczu, ale jednocześnie apeluję o zachowanie podstawowych środków ostrożności.

— A co będzie, jak... — Udałow nie kwapił się z polykaniem opłatka. Przy całym zaufaniu do geniuszu Lwa Chrystoforowicza chciał nadal rozkoszować się urokami życia.

— Nic szczególnego. Cerebromag włącza uspione komórki pamięci. Wszystko, co pan przeżył, wszystko, co pan widział, na zawsze utrwaliło się w pańskim mózgu. Jednak linie łączące zatykają się i wskutek tego wydaje się panu, że wiele rzeczy pan zapomniał. Ale tak się tylko wydaje! Jutro rano obudzi się pan i przekona, że tylko się tak panu wydaje! Łykaj pan.

I Udałow połknął opłatek.

Potem poszedł do domu.

Ksenia, która do tego czasu zdołała sobie wmówić, że Udałow odszedł do swojej Maszeńki, zdziwiła się na jego widok, ale nie dała tego po sobie poznać. Była ponura, milcząca i nie patrzyła mężowi w oczy. A na błagalny okrzyk Korneliusza: „Kiciu, zrozum!” odpowiedziała: „Wiem, kto jest twoją kicią”. Jednak знаła tylko jej imię, co ją mocno denerwowało i zmuszało do zastanawiania się nad każdą Maszeńką, Marusią, Marią i Marią Pietrowną.

Udałow zrezygnował z dowodzenia swojej niewinności i położył się spać, rzuciwszy jeszcze pożegnalne spojrzenie na czysty zeszyt leżący na biurku syna. Pierwsza strona z kompromitującym słowem była wyrwana. Wiadomo przez kogo.

Rano obudziło go uczucie doskwierającej niewygody. Duchowej. Wiedział, że zdarzyło się coś bardzo złego, ale nie od razu zorientował się co.

To był moment prawdziwego początku tragedii.

Korneliusz Iwanowicz nie wiedział, że dziewiąta fala runęła na jego bezbronną głowę.

Pamiętał wszystko!

To znaczy jeszcze sobie nie uświadomił, że wszystko pamięta, ale wpadł w dygot na pewne konkretne wspomnienie, gdyż było to wspomnienie niezmiernie bolesne. Widział absolutnie wyraźnie, jak wchodzi matka z wściekle wykrzywioną twarzą i mówi: „Gdzie jest imbryk? Gdzie jest imbryk w różowe kwiatki? Coś z nim zrobił, hultaju? Gadaj!”

I w oczekiwaniu na nieuchronną karę fizyczną Udałow zaczął pla-

kać cieniutkim, żalonym głosikiem, budząc Ksenię, która naturalnie nie wiedziała, jakim głosem płakał jej mąż w wieku pięciu lat.

Rzecz w tym, że incydent z rozbitym porcelanowym imbrykiem wydarzył się jeszcze przed wojną, a kara za ten czyn była zupełnie nieadekwatna do winy. Imbryk został zbity nieumyślnie, ale matka nie miała innego. Zresztą o tej egzekucji Udałow zapomniał już wiele lat temu.

Nie mogąc powstrzymać łez Udałow wstał z łóżka, odwracając się od Kseni, gdyż z kolei nawiedziły go gorzkie wspomnienia sprzed lat trzydziestu, kiedy to natknął się na Ksenię — wówczas jeszcze smukłą, kokietyrzną i niedotykalną — całującą się przed domem z Wasilijem Kriwatym. A wydarzyło się to akurat tego dnia, kiedy po długich wahanach Udałow postanowił wreszcie się jej oświadczyć. I chociaż później Ksenia zapewniała go, że były to jedynie siostrzane pożegnalne pocałunki, jako że Wasilij wyjeżdżał zagospodarowywać nowe ziemie, ból zdradzieckiego ciosu znów przeszył serce starszawego i dawno już nie kochającego żony Korneliusza Iwanowicza. Obrzucił żonę wzrokiem tak pełnym wrogości, że Ksenia nie odważyła się o nic zapytać. Przywykła mówić o swym mężu — obecnym lub nieobecnym — w tonie lekceważącym i pogardliwym, traktowała go jako zbędny ciężar, przekleństwo, ciągłe świadectwo zmarnowanego życia. Ale jeśli tylko dostrzegała, najczęściej zresztą wyimaginowane, niebezpieczeństwo, że go utraci, w Kseni budziła się lwica gotowa pędzić do komitetu partii z pismem: Mój mąż jest ostatnim łajdakiem. Natychmiast zwróćcie mi męża!

I oto teraz, napotkawszy gorzkie spojrzenie Korneliusza, Ksenia fałszywie go zinterpretowała, powiązała w myśli z tajemniczą Maszeńką i zrozumiała, że najwyższa pora wybrać się do jakiejś komórki, odwołać się do opinii społecznej.

A Udałow, który poszedł do łazienki umyć zęby i ogolić się, rozumiał już, że winę za jego stan ponosi wyostrzona pamięć, i zaczął bać się samego siebie. Starając się zmienić bieg wydarzeń, zaczął na głos do siebie przemawiać:

— Pomyślmy o czymś przyjemnym, co? Przypomnijmy sobie coś miłego. Na przykład to, jak zśliśmy z Ksenią do urzędu stanu cywilnego. Albo jak w szóstej klasie dostałem piątkę z klasówki.

Obie te sceny natychmiast posłusznie wypłynęły z pamięci i stanęły mu przed oczami ze wszystkimi szczegółami, łącznie z niebieską sukienką urzędniczki i katarem świadka Simieńskiego, ale wywołana przez to radość okazała się czysto formalna i serca nie poruszyła. Za to nie wiadomo czemu Udałow przypominał sobie, jak po wyjściu z urzędu Ksenia złamała sobie obcas, jak się tym zdenerwowała i jak właśnie wtedy, patrząc na poczerwieniałą z nieoczekiwanego gniewu twarz młodej żony, z przerażeniem rozumiał, że dokonał złego wyboru i że teraz przez wiele lat, aż do końca życia, będzie musiał patrzeć na te poczerwieniałe z gniewu policzki i słuchać tego skrzekliwego głosu.

Korneliusz, znów bliski łez, wyszedł z łazienki i zamierzał usiąść

do pisania artykułu. Naturalnie teraz doskonale pamiętał wszystkie wskazówki i rady wujaszka Gieorgija (właśnie Gieorgija) i ten piękny dzień, kiedy oni, młodzi członkowie brygady, zobowiązawszy się ukończyć murowanie ścian pierwszego piętra, nie schodzili z placu budowy przez pełne osiemnaście godzin. I był już gotów usiąść przy stole, aby utrwalić to wspomnienie na papierze — wspomnienie przyjemne, dające poczucie satysfakcji wynikającej z udziału w twórczej pracy — gdy nagle znieruchomiał. Obok tego wielkiego, dobrego wspomnienia w pamięci czaiło się wspomnienie drobne, przyssane jak kleszcz do głównego: to przecież właśnie tego dnia... Z jaką niezwykłą jasnością Korneliusz zobaczył ten obraz: stoi na górze i widzi, jak przez ulicę biegnie do niego piesek Bryś, brzydki i pokraczny, ale swój. I jak rozpedzona ciężarówka przejeżdża kundelka. Dosłownie na jego oczach.

Ksenia, która weszła za mężem do dużego pokoju, zobaczyła, że prawie już ubrany stoi przy biurku ze szczoteczka do zębów w rękę i cicho lka.

Udałow poczuł spojrzenie żony, odrzucił szczoteczka i wybiegł na dwór, ale dobiegł tylko do bramy. Nieprawdopodobnie gorzki ból przeniknął go, gdy tylko zobaczył jej wygładzone przez czas słupy... To było w czasie wojny. Udałow miał przyjaciela Mitię, bez którego po prostu nie mógł żyć. I oto pewnego razu zobaczył, jak przez bramę, z trudem, zaczepiając o słup osia prawego koła, wyjeżdża ciężko załadowany wóz, na którego wierzchu siedzi płaczący Mitia. Nikt Udałowowi nie powiedział, że Mitia z babcią i mamą wyjeżdżają do wielkiego miasta Wołody, i nikomu z dorosłych nawet nie przyszło do głowy, że Udałow nie może żyć bez Miti, a Mitia bez Udałowa...

Korneliusz Iwanowicz gładził poczerwiałą ze starości słup i wyrzucał sobie, że przez całe dziesięciolecie nie pomyślał ani razu o Miti, że zwyczajnie wykreślił go z pamięci...

— Korneliuszu Iwanowiczu!... — Z okna na pierwszym piętrze wyjrzała lisa, błyszcząca głowa Lwa Chrystoforowicza Minca. — Co z artykułem? Preparat pomógł?

— A idź pan... — Udałow machnął ręką i wyszedł na ulicę.

Ksenia wybiegła z klatki i znieruchomiała, lękając się iść za mężem.

— Co mu się stało? — zapytał profesor.

— Nie wiem, Lwie Chrystoforowiczu — odparła Ksenia. — Wiem tylko, że oddala się ode mnie, odchodzi, a ja niczemu nie jestem winna.

W tym samym czasie Udałow stał o sto metrów od domu. Naturalnie nigdzie nie odchodził, tylko starał się uciec przed wspomnieniami. Na próżno, bo każdy nowy krok wciąż je przywoływał.

Przystanął nad sadzawką. Nie, to dopiero dzisiaj to bajorko było dla niego sadzawką, a w dzieciństwie, kiedy Udałowa wrzucili do wody dwaj piątoklasiści, wydawało mu się ono ogromnym i bezdennym jeziorem. Ale najgorsze wówczas było co innego, mianowicie że piątoklasiści zabrali pieniądze, które matka dała mu na mleko, a już najstraszniejsze,

że wieczorem wybierali się na kolację do cioci Agrypiny, więc matka kazała mu uważać na świeżo wyprasowane spodnie.

Udałow jak oparzony odskoczył od sadzawki i ruszył wprost przed siebie.

Biegł środkiem ulicy niczego nie widząc i starając się nie patrzeć na boki. Bał się każdego przedmiotu, domu, kamienia, bo każdy z nich mógł wywołać gwałtowny ucisk w piersi lub nieoczekiwany napad rozpaczny.

Nie miał nawet czasu zrozumieć, co się właściwie z nim dzieje, gdyż będąc człowiekiem zrównoważonym i raczej szczęśliwym niż nieszczęśliwym znalazł się nagle w okropnych opalach tylko dlatego, że mu się polepszyła pamięć. W swym oszołomieniu nie spostrzegł nawet, że ściga go Ksenia z profesorem Mincem.

— Ciągłe płacze? — pytał w biegu Lew Chrystoforowicz.

— Złości się! — odpowiadała Ksenia. — Nie uśmiechnął się ani razu i patrzy na mnie wilkiem. Całkiem się wściekł.

— I artykułu nie pisze?

— Popatrzył tylko na papier i od razu zalał się łzami.

— Rozumiem.

Dopadli Udałowa nad rzeką Guś.

Wygłądało na to, że Korneliusz zamierza się utopić. Schodził szybko po stromym brzegu, rozpinając w marszu koszulę. W tym momencie widział tylko uniesioną błagalnie do góry głowę Maszeńki, słyszał jej zdławiony krzyk — woda była wówczas zimna i szara, a łódka, którą dziewczyna przeprowiała się z tamtego brzegu, przewróciła się niedaleko czekającego na nią Udałowa. Prąd szybko znosił Maszeńkę i trzeba było ogromnego hartu woli, żeby wejść do tej lodowatej wody, tym bardziej że Udałow prawie nie umiał pływać i z góry wiedział, że nie zdoła Maszeńki uratować. Jednak trzeba było skoczyć i utonąć samemu, bo na brzegu pozostać też nie było wolno. Wówczas wszedł do wody po kolana. Woda sparzyła nogi, oblepiła nogawki wokół łydek i zaczęła spychać w dół, w stronę Maszeńki, a Korneliusz wciąż zwlekał, bo nie potrafił zmusić się do zrobienia jeszcze jednego kroku. A potem zobaczył, jak zupełnie niedaleko wzniósł się stęp rozbryźniętej wody. To wujaszek Gieorgij rzucił się do rzeki niczym wystrzelona z brzegu torpeda. Skąd on się tam wziął? Zaczął płynąć, a potem oboje z Maszeńką robili się coraz mniejsi, rozplywali się w szarej mgielce... Wujaszek Gieorgij długo potem chorował na zapalenie płuc, a Maszeńka nie powiedziała Udałowowi nawet jednego złego słowa. Ale to było później.

Ksenia zdążyła zabiec mu drogę i stanąć między mężem a wodą niczym zaporą przeciwczołgowa.

— Nie puszczę! — krzyczała.

— Puść — powiedział obojętnie Udałow, który zdawał sobie sprawę z tego, że przynajmniej teraz, o wiele lat za późno, musi rzucić się do wody, żeby odkupić swój ówczesny strach. Nigdy nie przypuszczał, że wspomnienia są taką okropną rzeczą.

Minc nacisnął mu na ramię, zmuszając go w ten sposób, żeby usiadł na trawie.

— Proszę to zażyć — powiedział podając Udałowowi żółtą tabletkę.

Ksenia nabrała garść wody z rzeki i Korneliusz pokornie popił nią tabletkę.

— Co pan ze mną zrobił! — poskarżył się cicho.

— Przepraszam — powiedział Minc, który wszystko już zrozumiał. — To działanie uboczne.

— Nie chcę żyć — wyszeptał Korneliusz.

— Powinienem wypróbować preparat na sobie — powiedział Lew Chrystoforowicz. — Jednak to, czego dzisiaj dzięki panu dowiedziałem się za tak wielką cenę, stanie się tematem poważnego i w rezultacie optymistycznego artykułu.

— Optymistycznego? — zdumiała się Ksenia.

— Natura jest miłosierna — rzekł Lew Chrystoforowicz — a ja próbowałem pozbawić ją miłosierdzia. Nie pomyślałem o tym, że pamięć ludzka jest humanitarna, litościwa i dlatego wybiórcza. O wiele silniej przeżywamy smutki, rozczarowania i straty niż radości i sukcesy, gdyż życie uczy nas na naszych własnych błędach. Smutki i nieszczęścia jednak odchodzą i przemijają, gdyż nie można żyć z nieszczęściem. Wszystko, co złe, zapada w podświadomość i tkwi tam jakby za kotarą, żeby nas stale nie męczyć. Potrafimy wspominać z uśmiechem, jak w dzieciństwie zgubiliśmy dwadzieścia kopiejek i jakie to było nieszczęście, kiedy nie mogliśmy wskutek tego kupić lodów. A zapominamy, że te dwadzieścia kopiejek zbieraliśmy przez cały tydzień. Jesteśmy w stanie lekceważyć wszystkie tego rodzaju najokropniejsze przeżycia, które pozornie wywietrzały z pamięci. Teraz proszę sobie wyobrazić, ile Korneliusza kosztowało przeżycie na nowo wszystkich tragedii, które z perspektywy lat w istocie dawno już przestały być tragediami.

— Nie — powiedział Udałow. — Tam było około dwóch rubli. Matka dała mi te pieniądze na mleko. A oni zabrali. — Otarł łzę. Uspokajał się w oczach, bo widocznie żółta tabletką zaczynała działać. — Ale przecież ona mogła utonąć!

Minc i Ksenia popatrzyli na siebie z niepokojem. Niczego nie zrozumieli, pomyśleli więc, że Korneliusz zaczyna gadać od rzeczy. Ujęli go pod rękę i poprowadzili w kierunku domu.

Na rogu Puszkina spotkali Miszę Standala.

— O dwunastej czekam na artykuł! — wykrzyknął wesoło reporter.

— Nie — westchnął Udałow. — Pisarz ze mnie nie wyszedł.

W tej samej chwili jego twarz wykrzywiła się w żalnym grymasie.

— Właśnie tutaj — powiedział z bólem w głosie — przewróciłem się i stłukłem kolano. Jak ja wtedy płakałem! Miałem wówczas półtora roczku...

przełożył Tadeusz Gosk

Czułem się nie najlepiej. Nie byłem chory, tylko po prostu trochę przeziębiony. W nocy obudził mnie własny kaszel i już nie mogłem usnąć.

Czwarta rano. Za oknem widno. W parku za domami wydiera się sówik, którego przekrzykują wróble na balkonie. Pierzaste obłoczki wiszą na perłowym niebie i wszystko wygląda jak namalowane mocno rozwodnioną akwarelą.

Zachciało mi się palić. Głupia historia: byłem wyspany, chociaż spałem zaledwie trzy godziny. Wstałem, poszedłem do kuchni i stojąc przy oknie zapaliłem papierosa.

Lato zaczęło się późno. Połowa czerwca, a jeszcze nie przekwitły dmuchawce kłębkami szarawej wełny sterczące pod oknem, a topolowy puch, jakby wypuszczony przez te niepozorne kwiatki, unosi się do góry i nieruchomieje w powietrzu. A zieleń jest jeszcze całkiem świeża — nie ma dnia bez deszczu.

Wkrótce wszędzie słońce, rozpędzi akwarelowe subtelności, nada przedmiotom wymiar i wagę. Wszystko stanie się prostsze.

Pod lasem na horyzoncie bezdźwięcznie toczy się pociąg. Ale głos dyspozytora ze stacji rozrządowej dobiega wyraźnie i ostro.

Dokąd jedzie pociąg? Można rozróżnić niskie platformy i brunatne wagony towarowe, czystutkie i zgrabne, niczym wagoniki dziecinnej kolejki elektrycznej. Łatwo sobie wyobrazić, jak pociąg przelatuje z łoskotem obok uśpionego teraz podmiejskiego przystanka, którego drewniane perony są jeszcze wilgotne od nocnego deszczu, przetacza się przez osiedle pachnące mokrym listowiem i mlekiem przywiezionym właśnie do sklepika. Aż dziwne, jak dokładnie to sobie wyobraziłem, chociaż nigdy nie zdarzyło mi się oglądać wschodu słońca z peronu letniskowego osiedla.

A pociąg już nabiera szybkości, starając się obudzić przyzwyczajone do jego łoskotu letnie domki drzemiące wśród podmiejskich zagajników. Ludzie wyganiają krowy na pastwiska, a koguty odprowadzają je tak przeraźliwymi krzykami, jakby żegnały się z nimi na zawsze.

Postanowiłem się położyć, ale znów się rozkaslałem. Trzeba było napić się wody.

Kran wyrzucił z siebie twardy i prosty jak kij strumień wody, strumień rozbił się o brudne naczynia i rozprysnął się z niemal melodyjnym dźwiękiem. O takiej cichej, wytłumionej porze człowiek

rozdziela najsubtelniejsze odcienie szelestów, bo nie są one jeszcze zagłuszone przez szary i nudny hałas miasta.

A spać zupełnie mi się nie chciało. I głupio było tak stać w kąpielówkach pośrodku kuchni, gapić się w okno, zachwycać się krajobrazem, a jednocześnie namawiać się do powrotu do łóżka, żeby spać, zagrzać się w pościeli i przegapić ten ranek, zapomnieć o nim, nie zanurzyć się w jego pieszczotliwą samotność.

Ostrożnie, starając się nie hałasować, nie przybliżyć dnia, zacząłem się ubierać. Pantofle ogłuszająco stuknęły o parkiet, a drzwiczki szafy, do której sięgnąłem po czystą koszulę, przeraźliwie zapiszczały: przedmioty wypełniające pokój nie życzyły sobie oszczędzać ciszy poranka, obcy im był ekologiczny dramat rozgrywający się między jednostką a jej środowiskiem. To nie ich wina: nie mają przecież oczu, którymi mogłyby spoglądać w akwarelowe niebo.

Pora już wyjść z domu. A właściwie dlaczego nie? Jest niedziela, mój dzień, który zamierzałem, gdyby nie ta szczęśliwa bezsenność, spędzić na bezsensownym udawaniu pracy lub wypoczynku i przegapić chmury, że już nie wspomnę o współzawodnictwie między słowikiem a wróblami, dla których jego wytworna pieśń jest pustą stratą czasu. A czasu, jak wiadomo, stale brakuje, bo to i dzieci trzeba nakarmić, i robaka upolować, i sąsiadom pokazać, kto tu ważniejszy...

Tak przejąłem się wróblimi problemami, że anim się spostrzegł, kiedy stałem już na schodach i cichutko przekręcałem klucz w zamku.

Windy, rzecz jasna, nie ścigałem. Nietrudno sobie wyobrazić, jak ta machina zazgrzyta, zahuczy i zapiszczy wdrapując się na siódme piętro, przecinając zgęstniały smar i bezczelnie trzaskając drzwiami, żeby cały świat dowiedział się, o jakiej to nieprzyzwoitej porze musi pracować, trudzić się dla jakiegoś tam lenia, któremu nie chce się zejść po paru stopniach w dół.

Biegłem po schodach, a za oknami klatki ukazywały się kolejno gałęzie wielkiej topoli rosnącej przed bramą domu i przeswiecający przez nie rozległy różowy obłok, za każdym razem inny. Zapach wilgotnych liści, wlewający się przez otwarte okno, rodził we mnie dziwne uczucie, jakby świadomość, że udało się coś ważnego, coś, do czego od dawna dążyłem, jakby we śnie ukazało mi się rozwiązanie nierozwiązywalnego zadania albo że wśród nocy rozległ się w słuchawce telefonu z dawien dawna wyczekiwany głos...

Dozorczyńni szerokimi pociągnięciami miotły zamalowuje niewidzialną farbą szary asfalt ulicy, pokrywa go szelestem. To również dźwięk świtu. W ciągu dnia się go nigdy nie słyszy.

Maszerowałem jezdnią, a odgłos moich kroków dudnił i łomotał jak uderzenia serca.

Dlaczego ludzie nie wychodzą z domów o świcie, żeby zobaczyć, jak wstaje słońce? Czy potrzeba do tego aż nagłego przebudzenia, przypadkowej utraty snu? Czyżby nikt nie domyślał się, ile traci? Jak cudownie

jest domyślić się i teraz bez pośpiechu wchłaniać każdy szelest wiatru w listowiu, śledzić wzrokiem czarną błyskawicę lelka, wsłuchiwać się w brzęczenie rzadkiego w mieście trzmiela...

Ulicą jechał samochód. Wolno, jakby pyszniąc się tym, że również domyślił się wyjść na słońce. Polewaczka. Zapragnąłem ujrzeć, jak pierwsze promienie słońca przebijają się przez rozedrgane wachlarze wody, ale przecież nie mogłem iść za samochodem, tym bardziej że na przystanek akurat podjeżdżał trolejbus. Zupełnie pusty pierwszy trolejbus, który specjalnie ruszył na trasę, żeby przewieźć mnie po mieście.

Usiadłem przy oknie i trolejbus, miękko ruszając z miejsca, natychmiast dostał się w strugi wody, a polewaczka za oknem pokrytym spływającą wodą wydawała się miękka i rozmyta, jak na obrazach Salvadora Dali. W trolejbusie zapachniało wodą, jakby jechał brzegiem wielkiego jeziora.

Do trolejbusu wskoczyła dziewczyna. Ucieszyła się, że trolejbus ją zabrał, a ja byłem szczodry i nie spierałem się z nią, kiedy krzyknęła do kierowcy „Dziękuję!” Przecież nie wiedziała, że to jest mój trolejbus, że ja pierwszy go zająłem.

Dziewczyna usiadła po drugiej stronie przejścia i widziałem ją jak przez szkło powiększające. Na ucho opadł jej pukiel ciemnych włosów, każdy włoszek błyszczał po swoim. Dziewczyna miała na szyi małe pieprzyki i zbyt wąsko wyskubane brwi. Nie zamierzałem jednak jej za to potępiać — była przecież piękna, dobra i mądra, potrafiła wstać o świcie... Dziewczyna poczuła mój wzrok, szybko obejrzała się, a ja uśmiechnąłem się do niej, żeby pokazać, jak cudownie jest mieć wspólną tajemnicę.

Trolejbus wielkim łukiem — cały bulwar miał do swojej wyłącznej dyspozycji — zawrócił w stronę Dworca Kijowskiego i kierowca zawiadomił nas, że to już koniec trasy. Zgodziłem się z nim, bo drugi akt naszego spektaklu powinien rozegrać się w innych dekoracjach, a w jakich, to się jeszcze zobaczy. Może dziewczyna podpowie mi, co trzeba robić dalej?

Nie spieszyłem się z przechodzeniem na drugą stronę placu i patrzyłem, jak dziewczyna biegnie przez jego szeroki przestwór, jak w cieniu dworca niewyraźnym, lecz przychylnym blaskiem świeci jej wypchana czerwona torbka. Mogę nawet dokładnie powiedzieć, co ona w tej torbie ma — puder, szminkę, zeszyt z notatkami, ciekawą książkę, portmonetkę z pieniędzmi, nie dojedzoną czekoladkę w srebrnej folii, chustkę na głowę, notes, składaną parasolkę, jabłko i tysiąc innych potrzebnych przedmiotów.

Pierwszy promień słońca sięgnął dworcowej wieży i oświetlił zegar. Już piąta. Skończyła się wróbla noc. Dopiero teraz dzień ruszy z kopyta. Ale nie martwię się, że tak się stanie. Moja podróż trwa. Dwaj chłopcy wyszli z budynku dworcowego. Zupełnie nie ceniąc skupionej ciszy poranka dostroili się do różnych stacji — jeszcze jedna wersja

pojedyńku słowika z wróblem, tyle że mniej uzasadniona i melodyjna.

Nie chce mi się wracać do domu. Chcę znaleźć się na pustym podmiejskim peronie. Nie byłem tam jeszcze, ale muszę być, żeby ranek stał się jeszcze bogatszy i barwniejszy. A jak będzie się nazywać ta stacja? Czy to nie jest cudowne, że tego nie wiem? Wsiądę na tej, która mi się spodoba. Jak święto, to święto.

A gdzie dziewczyna? Szkoda, że ją zgubiłem. Zresztą najprawdopodobniej nasze drogi się pokrywają — metro jeszcze jest zamknięte, trolejbusy — poza moim specjalnym! — jeszcze nie kwapią się zająć pracę, której jeszcze właściwie nie ma.

Ale na peronie ludzie byli. Poszedłem tam, kupiwszy w automacie bilet za wszystkie drobne, jakie znalazłem w kieszeni i zobaczyłem zaferowany tłumek pracusiów dnia odświętnego. Rybaków, którzy spóźnili się na sobotnie ryby, bo żony ich pewnie nie puściły. Letniskowy mąż z ogromną torbą. Poprzysiągł rodzinie, że dołączy do niej w sobotę, ale zatrzymał się w mieście i teraz zerwał się bladym świtem gnany wyrzutami sumienia. Kolejarze jadący z nocnej zmiany do domu, mężczyzna z telewizorem i babcie w czarnych chustkach spieszące do ulubionej podmiejskiej cerkwi. Tacy to właśnie ludzie zebrali się na peronie — przypadkowi, nietowarzyscy i przeważnie niewyspani.

A dziewczynę zobaczyłem, gdy tylko wszedłem do zimnego, wychłodzonego przez noc i nieprzytulnego jeszcze wagonu. Siedziała tyłem do mnie, ale natychmiast rozpoznałem spadający na ucho pukiel włosów i czerwony pasek torebki przerzuconej przez ramię. Ruszyłem do przodu i usiadłem naprzeciwko, ale nie obok, żeby widzieć ją, lecz zarazem nie wydać się natrętnym. Że niby przypadkiem usiadłem naprzeciwko... Jechaliśmy razem na dworzec i przypadkiem znaleźliśmy się w jednym wagonie. Zdarza się, prawda?

No, jedźmy już, przynagliłem w duchu pociąg. Popatrz, sąsiedni już ruszył, mogłem wsiąść do niego, ale uwierzyłem w ciebie, a ty zwlekaasz.

Jakiś pijany czy też śpiący na stojąco staruszek wszedł do wagonu, doczołgał się do mojej ławki i usiadł obok. Usiadł i natychmiast zasnął, opierając się o mnie całym ciężarem, bo tak mu było wygodniej. Ostrożnie wydostałem się spod staruszka i przeniosłem się na inną ławkę, zupełnie nie zirygowany tą małą przygodą. Dziewczyna widziała moje zmagania z sąsiadem i uśmiechnęła się do mnie jak do starego znajomego. Ucieszyłem się z tego, tym bardziej że pociąg wreszcie zdecydował się ruszyć, szarpnął i potoczył się po torach w stronę peryferii.

O, tam, za grupką wielkopłytych ośmiopiętrowców, stojących na łagodnym zboczu jak stadko jędrnych grzybów, znajduje się mój instytut. Jest teraz zamknięty, a siedzący za oszklonymi drzwiami dozorca naturalnie drzemie. Wyjątkowo sympatyczny staruszek jest święcie przekonany, że ukradkiem zjadamy żaby, myszy, świnki morskie i różne inne zwierzaki, które w nieprawdopodobnych dla innych wersjach ilościach

trafiają do nas, aby oddać życie na ołtarzu nauki. Starszy pan zapytał mnie kiedyś, jak nam te żaby smakują. Odparłem na to, że są znakomite, zupełnie jak kurczęta, czym nie wzbudziłem w nim ochoty do skosztowania tego delikatesu, lecz utwierdziłem w podejrzeniach. Jesteśmy dla staruszka ludźmi niepoważnymi, a gdyby zobaczył, czym się w istocie zajmujemy, uznałby nas za bezmyślnie okrutnych. Bo czy to warto dla malutkiego krocza na drodze do poznania tajemnic mózgu zamezczać takie ilości bożego stworzenia. Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Zresztą nie zadawałem go sobie aż do dzisiejszego ranka.

A oto i pierwszy przystanek — jeszcze miejski i już nie pusty. Stąd można zobaczyć mój dom. Zobaczyć tak, ale nie rozróżnić wśród dziesiątków podobnych do niego budynków wyrastających na horyzoncie...

Nasz pociąg wreszcie się rozpędził. Stado krów, które widziałem z okna mojego mieszkania, tymczasem zdążyło dotrzeć do polany i teraz pożywiało się z apetytem, wybierając co świeższe i smaczniejsze trawki... Ogarnęło mnie poczucie nierozzerwalnej więzi, absolutnej jedności z otaczającym światem, świadomość tego, że jestem mu niezbędny i nieodłączny od niego, że beze mnie ten świat byłby niepełny i niedoskonały chociażby dlatego, że nie mógłby się we mnie odbijać.

Nie, poznawanie świata nie jest okrutne, tylko po prostu niezbędne człowiekowi do życia jak powietrze i woda. Wszak nie jest okrutny lew, zabijający antylopę po to, by mógł przedłużyć swój gatunek. Nieszczęsne króliki nie są ofiarami okrucieństwa, lecz naszej nieprzepartej potrzeby poznania wszystkiego, zobaczenia i zrozumienia funkcji świadomości i mechanizmów naszego świata, zrozumienia chociażby tego, jak to się stało, że wstałem dziś o świcie, ujrzałem ten ranek i poczułem się tym uszczęśliwiony.

Perony przystanków, na których pociąg stawał lub które pogardliwie mijał zwalniając tylko trochę swój bieg, były puste. Nikt też nie wsiadał i nie wysiadał z wagonu. Tych dziesięciu czy piętnastu ludzi, którzy roztopili się w jego wnętrzu nie zakłócając jego pustki, zdawało się czekać na jakiś sygnał, żeby go opuścić, jednocześnie wstać i wysiąść z wagonu, zrywając w ten sposób kruchy i krótki sojusz z pociągiem i zapominając natychmiast o podróży, która kiedyś, powiedzmy pięćset lat temu, byłaby niezwykle, wyjątkową wyprawą, zasługującą na uwiecznienie w barwnych opowieściach przy ognisku.

Dziewczyna wyjęła z czerwonej torebki postrzępioną książkę — ludzie jeżdżący pociągami podmiejskimi lubią grube powieści, bo takie tomisko starcza na długo, jak bilet miesięczny. Ta dziewczyna jest dla mnie zagadką. Zupełnie nie potrafię rozszyfrować, dokąd i po co jedzie tym pociągiem. A może po prostu nie chce przyjąć do wiadomości najprostszego rozwiązania.

Pociąg zatrzymał się przy mokrym, jaskrawo oświetlonym skośnymi, zimnymi jeszcze promieniami słońca peronie. Zaniepokoilem się, czy przypadkiem nie tutaj chciałem wysiąść. A zresztą co za różnica? Wy-

siądę razem z dziewczyną i dowiem się, dokąd i po co wybrała się o tak niezwykłej porze.

Z drugiej strony stary dozorca ma jednak rację, potępiając nas. Jesteśmy jak mali chłopcy, którzy dostali parowozik i którzy chcąc dowiedzieć się, dlaczego kręca się koła, bez namysłu rozbijamy go na kawałki. Wydaje się nam, że nie możemy obejść się bez wiwisekcji, chociaż to wcale o nas dobrze nie świadczy. Co z tego, że potem postawimy psu pomnik! Samego psa już nie ma, a bez niego świat stał się uboższy. Nie ma psa, nie ma parowozika i nie ma poszukiwanej wiedzy... Ale nie możemy przecież przyjąć wszystkich punktów widzenia naraz, bo staniemy w miejscu, zginiemy jak ten osiołek między dwoma pełnymi żłobami. Musimy raczej liczyć na to, że po rozszyfrowaniu mechanizmów myślenia, nauczywszy się czytać mózg jak książkę, nauczywszy się sły-
szyć myśli, pomożemy w ten sposób braciom naszym mniejszym. Po-
możemy czy pójdziemy dalej nie oglądając się na nich?

Ze też dziewczyna wstała akurat teraz, kiedy pociąg zbliża się do podmoskiewskiego miasteczka, do stacji z betonowymi peronami i kratownicowymi kładkami. Przecież ja tu nie chcę wysiadać!

Wstałem. Ruszyć za nią? Ale przecież dziewczyna nie wejdzie do ogródka śpiącego wśród bżów domku, nie rozszczęka się radośnie na jej widok biały kudłaty kundel.

— Do widzenia — powiedziałem do dziewczyny, ale dziewczyna nie usłyszała. Zapomniała już o tym, jak jechaliśmy razem przez perłowy blask świtu.

Wagon prawie zupełnie opustoszał. Wyszedłem na platformę i zapaliłem. Niedługo wysiadam. Jeśli spędzę jeszcze pół godziny w tym wagonie, to stracę swobodę wyboru i przekształcę się w zagranicznego turystę, który cały ostatni dzień pobytu spędza w sklepach, żeby zaopatrzyć się w prezenty dla ukochanej rodziny i najdroższego zwierznika.

Wysiadłem na następnym przystanku.

I dobrze zrobiłem.

To był właśnie ten peron, który przywidział mi się o świcie. Drewniany, mokry od deszczu i rosy, upstrzony plamami słonecznego blasku, przesączonego przez gałęzie drzew. Sosny poskrzypywały na wietrze i to skrzypienie stało się głównym dźwiękiem od chwili, gdy ucielił stukot kół pociągu. Na deskach peronu leżała biała peonia. Ktoś spieszył się na ostatni pociąg i zgubił ją, nawet tego nie zauważając w ciemności. Nie podniosłem jej, gdyż była piękna właśnie w ten sposób: na szarych deskach ciemnozielone soczyste liście i biały żabot kwiatu.

Ścieżka za peronem była piaszczyta, nasycona wilgocią i chrzęszcząca pod nogami, jakby tam, za sosnami, rozpościerały się wydmy i morze.

Letniskowe osiedle spało. Na klombie roily się białe kury, niwecząc wczorajsze wysiłki ogrodnika, szczeniak na zbyt grubym łańcuchu, odziedziczonym po poprzedniku, podbiegł do ogrodu i bez przekonania

szczeknął. Zrobił to najwyraźniej tylko po to, żebym nie podejrzewał go o godne pogardy lenistwo. Łańcuch ogłuszająco zabrzczał. W ogrodzie następnego domku stał z konewką w rękę niemłody mężczyzna w wojskowych bryczesach, koszulce gimnastycznej i słomkowym kapeluszu. Wiedziałem, że przez długie lata służby wojskowej prześladował go ten upragniony obrazek: wczesny ranek, on z konewką w rękę, tenisówki na przyboś i skrzyp sosen. Nawet pewnie poganiał swe nielekkie, kocownicze wojskowe życie, żeby przybliżyć starość... A może jestem niesprawiedliwy dla emeryta. Może to jest wielki milicyjny detektyw, który hoduje róże i czeka z nadzieją, że następnym pociągiem przyjadą do niego trzej majorzy: „Ratuj, Iwanie Porfiriewiczu, zagadkowa zbrodnia w Małachowce”.

Oddalałem się coraz bardziej od stacji i zaglądałem przez płoty — najlepszy wskaźnik charakteru i stanu majątkowego właściciela domku letniskowego — i szukałem domu, w którym chciałem się obudzić rano i wsłuchać się w zagubione jeszcze w dzieciństwie dźwięki — brzęczenie pszczoły, brzęk filizanek na werandzie i zgrzyt studziennego kołowrotu?

Jeśli szczęście jest nieuchwytnym, nie wiadomo jak przychodzącym stanem, najczęściej zupełnie nie związanym z jakimiś wielkimi wydarzeniami lub radościami — to byłem szczęśliwy.

A oto i dom.

Już dawno należy mu się remont. Weranda zapadła się, dach zapadł, a stare jabłonie wparły się swoimi powykrzywianymi konarami w ścianę. Na brzegu drewnianego zrębu studni stoi powyginane blaszane wiadro, a wokół studni przez rzadko żółtozieloną trawę prześwituje warstwa sosnowego igliwia.

Pchnąłem furtkę. Skrzypnęła i jakby od tego skrzypnięcia zachwiał się stary, zmurszały przy ziemi parkan. Trzeba będzie wymienić słupy, pomyślałem. Trzeba przede wszystkim dać nowe słupy.

Ludzie w domu pewnie jeszcze śpią, chociaż nie, drzwi na werandę są otwarte, a z komina idzie lekki i wonny — jego zapach dolatuje aż do ogrodu — dymek.

Wejść, przepraszam, zapytam, czy przypadkiem nie mogę wynająć tu pokoju. Albo powiem, że kiedyś dawno, jakieś trzydzieści lat temu, mieszkałem tu jako mały chłopak. Powiem cokolwiek i mam nadzieję, że mnie nie wypędzą.

Krzewy niedawno przekwitłego bzu były mokre od rosy i trzeba było porządnie się schylić, żeby nie przemoczyć koszuli. Chrabąszcz ciężko wystartował z bzu, uderzył mnie w ramię i wystrzelił w górę niczym tęcza kula. Płatki bzu jeszcze leżały na trawie.

Wszedłem po szarych skrzypiących schodkach na werandę i zatrzymałem się przed drzwiami.

— Jest tam kto?

— Powiedziałem to półgłosem, żeby nie obudzić tych, którzy jeszcze

spali, i nie zakłócać spokoju samemu sobie, temu, który przed wielu laty leżał na niewygodnym wąskim łóżku i patrzył, jak promień słońca oświetla sęki w balach ściany i warkocze słomy między nimi.

— Wejdz — odezwał się głos ze środka.

Na werandę wyszedł znajomy mężczyzna.

— Czekaliśmy na ciebie — powiedział.

— Dzień dobry — odpowiedziałem. — Przepraszam.

— Przecież mówię, że czekaliście na ciebie.

— A ja się obudziłem i nie mogłem już usnąć... Wyszedłem z domu, wsiadłem do pierwszego z brzegu pociągu i przyjechałem.

— Wiedziałeś, dokąd jedziesz?

— Przecież nigdy tu nie byłem. Po prostu wydało mi się, że mieszkałem tu wiele lat temu.

— Wejdz do środka i popatrz.

Udało się im przetaszczyć całą aparaturę. Nie do wiary, ile przyrządów może pomieścić malutka izdebka. Pszczoła latała nad szarym pulpitem sterowniczym, wsłuchiwała się w jego buczenie i brzęczała w odpowiedzi. Może wyczuła w nim pokrewną duszę?

— Po co to wszystko tu przywlekliście?

Tak w ogóle to nie miałem nic przeciwko temu, że trafiłem akurat do swoich znajomych, kolegów z pracy, takich samych jak ja wiwiesektorów i oprawców niewinnych żab. Przypadek wcale mnie nie zdziwił, bo przecież całe życie składa się z przypadków, a już zwłaszcza dziś nic nie mogło mnie zaskoczyć.

— Nie rozumiesz?

— Niczego nie chcę rozumieć. Nie macie kubka herbaty?

— Oczywiście! Zaraz siądziemy i napijemy się herbaty. Z konfiturami. Nie spaliśmy przez całą noc.

— Co to za święto?

— Twój przyjazd.

— To nie wasze święto, tylko moje.

— A kto mówi, że jest inaczej?

Dyrektor instytutu położył mi na ramieniu miękką dłoń dobrego wujaszka. Podeszedł z tyłu, więc nie od razu go spostrzegłem. W pokoju zebrano się już chyba z pięć osób. Wszyscy uśmiechali się jak psotnicy, którym udało się podrzucić żabę nielubianemu nauczycielowi do teczki, a ten, biedaczysko, włożył rękę do teczki akurat w momencie, kiedy zamierzał wyrwać do odpowiedzi zdeklarowanego dwójkowicza.

— No i jak? — zapytał dyrektor. — Można nam pogratulować?

— Nam? — zapytałem.

— Tobie naturalnie też. Nie wiesz, jak się tu znalazłeś?

— Dlatego, że tego zapragnąłem.

— Dlatego, że udało się nam dostroić do twego biozakresu i nadać silny sygnał. Szedłeś do nas, bo cię wołaliśmy.

— Szkoda — powiedziałem.

Oczekiwali zupełnie innej reakcji. Pewnie mieszaniny zachwytu i niedowierzania.

— Nie wierzysz?

Już wierzyłem, ale nie mogłem opowiedzieć im o perłowym brzaśku, dziewczynie z czerwoną torebką, pułkownika w stanie spoczynku, skrzypieniu sosen i piwonii na mokrych deskach peronu.

— Dokąd to?

— Przecież tutaj nie będę pisał wymówienia.

— Nie wygłupiaj się — powiedział dyrektor. — Nie mogliśmy cię uprzedzić! Doświadczenie musiało być czyste.

— Nie chodzi o mnie, tylko o króliki.

— O jakie znów króliki?

— O morskie świnki też. Żał mi ich. Poszukam sobie innej pracy.

I ku ich niebotycznemu zdumieniu wyszedłem. Zepsułem im wspa-
niałe, zasłużone święto, chociaż nie chciałem się na nich mścić ani na-
wet nie czułem się obrażony. Po prostu nie mogliby mnie zrozumieć,
a ja chciałem zachować bodaj strzępek tego mojego poranku.

— Poczekaj! — krzyczeli od furtki. — Przecież sam strawiłeś na tej
pracy kilka lat życia. To twój sukces. Myśleliśmy, że się ucieszysz!

Nic nie odpowiedziałem.

Na peronie nadal było pusto. Nic dziwnego, wcześniej, szósta rano.
Do pełni obrazu brakowało tylko, żeby peonia została rozdeptana — ma-
lowniczy szczegół sentymentalnego opowiadania. A peonia leżała, grzała
się na słońku, sosny szumiały, nic się nie zmieniło. I nie wiedziałem,
czy czekać na pociąg, czy wrócić do tego domu wśród starych sosen i ja-
błoni, gdzie już wszyscy zasiedli do herbaty i śmieją się na wspomnienie
tego, jak wszedłem na werandę, a potem uciekłem nie wiadomo na co
obrażony...

przełożył Tadeusz Gosk

Spis treści

Jeszcze jeden Bułyczow	5
Nie drażnić czarownika!	6
Komu to potrzebne?	12
Skarbonka	17
Każdy ma co wspominać	24
Letni ranek	34
Dla kolekcjonerów	43

Drugi cykl
zeszytów fantastyczno-naukowych
ISKIER

Ukazały się już zeszyty:

- nr 1 **Kirył Bułyczow** Guslar – Neapol
- nr 2 **Theodore Sturgeon** Klucz do nieba
- nr 3 **Eddy C. Bertin** Powrót donikąd

W druku:

- nr 5 **Olga Łarionowa** Wróc po swego Stora

W przygotowaniu:

- Ryszard Głowacki** Powiew nieprawdopodobieństwa
- Norman Spinrad** Wszystkie dźwięki tęczy
- Theodore Sturgeon** Klucz do Zapory
- James White** Zawód: wojownik

ISBN 83-207-0442-1

Cena zł 40,—